

AMY WELBORN

ZROZUMIEĆ
KOD
DA VINCI



Polskie Wydawnictwo Encyklopedyczne
Radom 2004

WSTĘP

Wiosną 2003 wydawnictwo Doubleday opublikowało powieść Dana Browna pod tytułem *The Da Vinci Code*.

Książka została wsparta niezwykle intensywną kampanią promocyjną. Po roku sprzedano prawie 6 milionów egzemplarzy w twardej oprawie. Wkrótce *Kod Leonarda da Vinci* pojawi się w kinach, jako film wyreżyserowany przez Rona Howarda (*Apollo 13, Piękny umysł*).

Półki w księgarniach uginają się pod różnymi książkami sensacyjnymi, ale *Kod Leonarda da Vinci* wydaje się być czymś nieco innym – mówi się o nim w inny sposób niż o powieściach Jamesa Pattersona czy Johna Grishama. O co tu chodzi?

Przed wszystkim zwraca uwagę niesamowita promocja tej książki. W dzisiejszych czasach, jeśli o czymś jest głośno, to w większości przypadków wynika to z odpowiedniej kampanii promocyjnej – taką kampanię rozpoczął wydawca *Kodu* jeszcze przed publikacją powieści.

Ale marketing to oczywiście nie wszystko. Czytelnicy są zaintrygowani pewnymi zagadkowymi twierdzeniami *Kodu*:

- Czy Leonardo da Vinci rzeczywiście chciał poprzez swoje obrazy przekazać tajną wiedzę o Świętym Graalu?

* W Polsce książka ukazała się pod tytułem *Kod Leonarda da Vinci*, nakładem wydawnictw Albatros i Sonia Draga. Wszystkie cytaty pochodzą z tego wydania. (przyp. red.)

- Czy to prawda, że Ewangelie nie przedstawiają prawdziwej historii Jezusa?
- Czy Jezus i Maria Magdalena byli małżeństwem?
- Czy Jezus rzeczywiście wyznaczył Marię Magdalenę (a nie Piotra) do kierowania Kościołem?

Intrygujące jest, że bohaterowie *Kodu* są przekonani do pozytywnych odpowiedzi na te pytania, oraz że odpowiedzi te są podawane w książce jako tezy oparte na faktach, potwierdzone pracami historyków i innych poważnych badaczy. Brown powołuje się na pewne faktycznie istniejące książki jako na źródła swoich twierdzeń. Czytelnicy są naturalnie ciekawi, dlaczego nie słyszeli o tym wcześniej oraz, jeśli to, co pisze Brown jest prawdą, jakie konsekwencje może to mieć dla ich wiary. Poza tym, jeśli Ewangelie są fałszywymi relacjami, czy chrześcijaństwo takie, jakim znamy je dzisiaj, nie jest jednym wielkim kłamstwem?

Intencją mojej książki jest pomóc w analizie tych kwestii oraz w poznaniu prawdy, którą *Kod* chce zasłonić. Przyjrzymy się źródłom, z których Brown zaczerpnął swoje rewelacje, by ocenić, czy są to wiarygodne źródła historyczne. Zapytamy, czy dokonana przez niego prezentacja wczesnochrześcijańskiego piśmiennictwa, nauczania i doktrynalnych sporów (faktów, które są bogato udokumentowane i które były studiowane w ciągu setek lat przez wybitne umysły) odpowiada rzeczywistości. Spojrzymy na postacie Jezusa i Marii Magdaleny – osoby kluczowe dla powieści Browna – i zobaczymy, czy to, co mówi o nich *Kod*, jest oparte na historycznych zapisach. Po drodze znajdziemy zdumiewającą liczbę rażących, skandalicznych błędów w sprawach większych i mniejszych – co powinno być sygnałem ostrzegawczym dla każdego, kto chciałby traktować *Kod* jako źródło faktów, a nie jako po prostu czystą fikcję.

W *Kodzie Leonarda da Vinci* wiele razy czytamy, że rzeczy mogą nie być naprawdę takie, jakimi się wydają.

Jeśli przeczytasz bez uprzedzeń książkę, którą masz przed sobą, odkryjesz, jak bardzo prawdziwe jest to stwierdzenie, kiedy zastosujemy je do powieści Browna.

JAK KORZYSTAĆ Z TEJ KSIĄŻKI

Nie trzeba przeczytać *Kodu Leonarda da Vinci*, żeby skorzystać z mojej książki. Prezentuję wystarczająco dokładne streszczenie fabuły, by można było zrozumieć główne kwestie, które powieść podnosi.

Odniosłam się do pytań najczęściej zadawanych przez czytelników *Kodu*, w szczególności w kwestiach teologicznych i historycznych. Czytelnik znajdzie również sprostowania wielu mniejszych błędów lub nieścisłości zawartych na kartach powieści.

Ta książka jest przydatna zarówno dla poszczególnych czytelników, jak i dla grup. Na końcu każdego rozdziału podane są pytania powtórzeniowe i kwestie do dyskusji.

Książka ma także szerszy cel. Badanie specyficznych tez *Kodu Leonarda da Vinci* jest okazją do przypomnienia chrześcijańskiego nauczania o tożsamości Jezusa i Jego posłannictwie, historii początków Kościoła, roli kobiet w religii i związku wiary Apostołów z naszą wiarą dzisiaj. Mam nadzieję, że moja książka pomoże czytelnikowi pogłębić wiedzę na temat historycznych korzeni autentycznej wiary chrześcijańskiej.

WPROWADZENIE

Kod Leonarda da Vinci zawiera elementy atrakcyjne dla wielu czytelników: napięcie, tajemnice, zagadki, wątek miłosny i podejrzenie, że świat nie jest naprawdę taki, jakim się wydaje, bo „określone siły” nie chcą, żeby ludzie poznali „ukrytą prawdę”.

Powieść zaczyna się tak: Robert Langdon, profesor „symboliki religijnej” (na marginesie: nie istnieje taka dyscyplina naukowa) z Uniwersytetu Harvarda, zwiedzając Paryż, zostaje wezwany na miejsce zbrodni w Luwrze. Kustosz Luwru, niejaki Jacques Saunière, uznany ekspert od tzw. „boskiej bogini” i „sakralności żeńskiej”, leży martwy – prawdopodobnie zamordowany – w jednej z galerii.

Wydaje się, że ostatnie minuty życia Saunière poświęcił na ułożenie ciała w pozycji znanej ze szkicu *Człowieka witruińskiego* Leonarda da Vinci (słynny obraz sylwetki ludzkiej wpisanej w okrąg i kwadrat, z wyciągniętymi rękami i nogami) oraz na pozostawienie jeszcze paru innych zagadkowych wskazówek, takich jak liczby, anagramy i pentagram, które wyrysował na swoim ciele własną krwią.

Na miejsce zbrodni dociera również Sophie Neveu, specjalistka od kryptologii, która jest jednocześnie wnuczką Saunière’a. Kustosz Luwru przesłał jej wcześniej wiadomość, błagając, żeby zapomniała stare urazy i zadzwoniła do niego, gdyż musi przekazać jej ważną informację o jej rodzinie. Sophie rozszyfrowuje wskazówki, które zostawił jej dziadek, odbywa kilka rozmów z Langdonem o „sakralności żeńskiej”, znajduje Bardzo Ważny Klucz zostawiony

przez Saunière'a za obrazem Leonarda i... akcja rozwija się w coraz szybszym tempie.

Kto zabił Saunière'a? Jaką tajemnicę ukrywał kustosz Luwru? Jakie informacje chciał przekazać wnuczce? Dlaczego pewien albinos – „mnich” z Opus Dei, próbuje wszystkich zabić? Pozostała część powieści (ponad pięćset stron, ponad sto rozdziałów) opisuje zdarzenia rozgrywane się w czasie niewiele dłuższym niż doba, zabierając nas, wraz z Langdonem i Sophie, do różnych miejsc w Europie, w poszukiwaniu rozwiązania zagadki, które jest następujące (Przepraszam za ujawnienie fabuły, ale nie da się tego uniknąć.): Saunière był Wielkim Mistrzem tajnej organizacji o nazwie „Zakon Syjonu”, której celem jest przechowanie prawdy o Jezusie, Marii Magdalenie i, pośrednio, o całej rasie ludzkiej.

Ludzkość, jak dowiadujemy się z książki, od początku i przez całe tysiąclecia praktykowała duchowość, która zachowywała równowagę pomiędzy „męskością” a „żeńskością”, w której bóstwo i pozycja kobiet były czczone.

I to jest właśnie to, co robił Jezus. Głosił idee pokoju, miłości oraz jedności i, aby wcielić je w życie, wziął za żonę Marię Magdalenę, której powierzył przywództwo swojego ruchu. Maria Magdalena była w ciąży, kiedy Jezus został ukrzyżowany.

Piotr, zazdrosny o pozycję Marii Magdaleny, przechwycił kierownictwo ruchu, powstałego wokół Jezusa. Zaczął wyciszać prawdziwe nauczanie Jezusa i zastępować go własnym. Stopniowo wypierał Marię Magdalenę z pozycji przywódczyni tego ruchu.

Maria Magdalena została zmuszona do ucieczki do Francji, gdzie zmarła. Potomek jej i Jezusa dał początek królewskiemu rodowi Merowingów. To właśnie Maria Magdalena oraz uosabiana przez nią „sakralność żeńska”

– a nie żadne realnie istniejące naczynie – to prawdziwy Święty Graal.

Czy Merowingowie byli założycielami Paryża, jak pisze Brown (patrz: str. 327)? Nic podobnego. Paryż został założony przez plemię celtyckich Galów w III wieku przed Chr. Merowingowie jedynie uczynili Paryż stolicą Królestwa Franków w 508 roku.

A zatem historia ostatnich dwóch tysięcy lat wygląda zupełnie inaczej, niż wynikałoby to z wydarzeń opisywanych w książkach historycznych (no bo przecież „historię piszą zwycięzcy”). O prawdziwą wizję historii walczy Zakon Syjonu z Kościołem katolickim (zwróćmy uwagę: nawet nie z chrześcijaństwem jako całością, ale właśnie z Kościołem katolickim). Kościół, poprzez ustalenie kanonu *Pisma Świętego*, orzeczenia doktrynalne, a nawet sposób traktowania kobiet, pracował nad tym, by ukryć prawdę o Świętym Graalu oraz „sakralności żeńskiej”, podczas gdy templariusze i Zakon Syjonu starali się ochronić „Graala” (czyli szczątki Marii Magdaleny), przechować prawdę o Marii Magdalenie i nabożeństwo do „sakralności żeńskiej”.

Saunière strzegł tej samej wiedzy, którą Leonardo da Vinci, również członek Zakonu Syjonu, zakodował w swoich dziełach. Kustosz Luwru był w to wszystko zaangażowany także ze względów osobistych – ponieważ pochodził (a więc także jego wnuczka Sophie) z królewskiej linii Merowingów. Sophie jednak nic o tym wcześniej nie wiedziała, a nawet od wielu lat nie utrzymywała z dziadkiem żadnych kontaktów po tym, jak natknęła się w tajnym pokoju ich wiejskiego domu na scenę rytualnego seksu pomiędzy nim a jakąś kobietą, w otoczeniu tłumu zamaskowanych widzów.

Na samym końcu dowiadujemy się, że ta kobieta była jej babcią, a to, co uczestnicy spotkania robili w tym pokoju, to było tylko „ożywianie ich wiary”. Ponadto dowiadujemy się, że „Graal” (szczątki Marii Magdaleny) oraz dokumenty o jego pochodzeniu znajdują się pod dwudziestometrową szklaną piramidą, zaprojektowaną przez chińskiego architekta I.M. Pei, która stanowi nowe wejście do paryskiego Luwru. Tam właśnie, jak czytamy w ostatnich zdaniach powieści, Langdon rzuca się na kolana w religijnym uniesieniu i wydaje mu się, że słyszy „mądrość wieków” w kobiecym głosie, dochodzącym do niego z głębi ziemi.

Nic nowego pod słońcem

Założenia, na których opiera się fabuła *Kodu Leonarda da Vinci*, mogą robić wrażenie nowych i niezwykle oryginalnych. W rzeczywistości większość z nich wcale nie jest nowa.

Brown najzwyczajniej w świecie zaczerpnął z paru innych książek garść dowolnych spekulacji, ezoterycznych teorii i pseudohistorycznych fantazji, a następnie wypełnił nimi strony swojej powieści. Jeżeli ktoś zetknął się z tymi książkami, może rzeczywiście być zszokowany faktem, jak wiele ich elementów zostało przeniesionych „żywem” do *Kodu*.

Brown podaje bibliografię na swoich stronach internetowych, ponadto sam cytuje kilka z tych książek w swojej powieści. Jego źródła można podzielić na trzy główne kategorie:

- 1) **Święty Graal i jego pochodzenie.** Cała powieściowa konstrukcja „Jezus – Maria Magdalena – Święty Graal – Zakon Syjonu” pochodzi z dwóch książek. Pierwsza z nich to *Holy Blood, Holy Grail* (autorzy: Michale Baigent,

Richard Leigh i Henry Lincoln). Została wydana w 1981, na jej podstawie zrealizowano program w telewizji BBC. Sprzedawana jako literatura faktu, została powszechnie wyśmiana jako efekt spekulacji i bezpodstawnych założeń, opartych na fałszywych dokumentach. W momencie publikacji książki jej autorzy działali zawodowo – odpowiednio – jako: nauczyciel z wykształceniem psychologicznym, powieściopisarz i producent telewizyjny. Druga z książek to *The Templar Revelation*. Jej autorzy (Lynn Picknett i Clive Prince) są ekspertami od zjawisk paranormalnych, mającymi na swoim koncie książkę *The Mammoth Book of UFOs*.

2) „Sakralność żeńska”. W XIX wieku pojawiły się spekulacje o „zagubionej epoce bogini”, kiedy to czczono „sakralność żeńską” – o okresie, który został wyparty przez skłonny do wojen patriarchat. Współcześnie kilku pisarzy połączyło te idee z ich wyobrażeniem Marii Magdaleny. Pewna Amerykanka o nazwisku Margaret Starbird prowadzi w tej sprawie prywatną krucjatę za pomocą swoich książek. Sposób przedstawienia Marii Magdaleny przez Browna jest oparty na tekstach Starbird, w szczególności na książce *The Woman With the Alabaster Jar*, którą sama autorka określiła jako „fikcję”.

3) **Gnostycyzm**. Jak rozwiniemy to później, gnostycyzm był zbiorem poglądów rozpowszechnionym w świecie starożytnym. Był systemem złożonym, ale w skrócie można powiedzieć, że w większości swoich form stanowił teorię ezoteryczną (według gnostyków prawdziwa wiedza była dostępna tylko dla nielicznych – słowo *gnosis* znaczy „wiedza”), a materialny świat, w tym ciało ludzkie, uważał za zło. Znane są pisma, pochodzące z II-V wieku po Chr., które łączą elementy chrześcijańskie z gnostyckimi. Badacze mają różne opinie na ich temat, ale większość z nich twierdzi, że powstały one dużo później niż Ewangelie

i – co jest ważne – dają one mały, jeśli w ogóle jakikolwiek, bezpośredni niezależny wgląd w rzeczywiste słowa i czyny Jezusa. Brown ignoruje ten fakt i woli polegać na opiniach – nieznaczej – mniejszości badaczy oraz pisarzy, którzy wierzą, że pisma gnostyckie dobrze opisują początki ruchu skupionego wokół Jezusa. To na tych pracach opiera Brown swoje opisy tego, czego Jezus „naprawdę” uczył.

Nawiązywanie do takich „źródeł” powinno być dla czytelnika sygnałem ostrzegawczym. W bibliografii Browna nie ma nawet jednej poważnej pracy z zakresu historii chrześcijaństwa – ani jednej pracy z zakresu wiedzy o *Nowym Testamencie* lub choćby standardowych opracowań encyklopedycznych, które zna każdy student, zaznajamiający się z historią wczesnego chrześcijaństwa. Brown nie cytuje nawet samego *Nowego Testamentu* jako źródła wiedzy o początkach chrześcijaństwa.

Brown często podkreśla w wywiadach, że jego książka odkrywa historię, która była utrzymywana w tajemnicy. Lubi powtarzać, że „historia zawsze jest pisana przez zwycięzców”. Znaczy to, że jeśli popatrzymy na wydarzenia historyczne jako na walkę różnych sił, to właśnie zwycięzcy ostatecznie decydują o zapisach historycznych i to ich wersja historii pozostaje dla potomności. Źródła, na których się on opiera, mają rzekomo być tą „utraconą historią”. Oczywiście, jest ziarno prawdy w takim spojrzeniu na historię. Historia nigdy nie może być przedstawiona w całkowicie obiektywny sposób, gdyż ludzie nigdy nie są do końca obiektywni. Zawsze widzimy i relacjonujemy wydarzenia z jakąś dozą subiektywizmu. Na przykład każdy z uczestników wypadku samochodowego przedstawia trochę inną wersję wydarzeń. Ale to nie znaczy, że samego wypadku w ogóle nie było. Chociaż świadkowie

wypadku mogą nie być pewni co do wydarzeń, które do niego doprowadziły, chociaż ofiara wypadku może przedstawiać inną historię niż jego sprawca, to nie ulega wątpliwości, że wypadek był, i nie ulega wątpliwości, że istnieje obiektywna prawda co do tego, kto spowodował wypadek, niezależnie od tego, jak trudne może być jej ustalenie.

Tak samo jest z zapisami historycznymi. To prawda, że aż do czasów współczesnych podbój Ameryki był przedstawiany z perspektywy Europejczyków – „zwycięzców”. W czasach współczesnych badacze próbują przedstawić drugą stronę tej opowieści, z perspektywy rdzennych mieszkańców Ameryki, których spojrzenie na ten podbój jest oczywiście inne. Nie należy wątpić, że ani „zwycięzcy” nie przedstawiają idealnie wiernego obrazu historii, ani rdzenni mieszkańcy, i że nikt z nas nie będzie miał całkowitej wiedzy na ten temat. Ale tym, co jest na pewno prawdą, jest stwierdzenie, że podbój Ameryki miał miejsce.

Jednakże Brown używa stwierdzenia „historia jest pisana przez zwycięzców”, aby zasugerować, że cała historia chrześcijaństwa, poczynając od samego Jezusa, jest kłamstwem, ogłoszonym przez tych, którzy chcieli ukryć „prawdziwe” przesłanie Jezusa. Nie chodzi tu o różne interpretacje słów i czynów Jezusa. Chodzi o fakty najbardziej podstawowe: że to, co czytamy w *Nowym Testamencie*, i zapisy, które istnieją o wczesnym chrześcijaństwie, nie są prawdziwym przedstawieniem tego, co się naprawdę wydarzyło.

W powieści Browna czytamy, że „heretycy” we wczesnym chrześcijaństwie – czyli ci, którzy opierali się na gnostyckich pismach cytowanych przez Browna – są tymi, którzy pozostali wierni „pierwotnej historii Chrystusa” (str. 300).

* Chrześcijańscy pisarze pierwszych wieków podkreślają, że herezja jest zawsze czymś nowym w stosunku do prawdy. Kościół zachowując Tradycję, pozostaje wierny prawdzie. (przyp. konsult.)

To jest sedno sprawy i jednocześnie – poważne oskarżenie.

Zamierzam pozostałą część książki poświęcić na zbadanie tych twierdzeń w szczegółach. Ale ważne jest też przedstawienie już na początku istoty problemu – żebyśmy rozumieli, o co „toczy się gra”.

Brown twierdzi, że Jezus chciał, aby zapoczątkowany przez niego ruch działał na rzecz większej świadomości „sakralności żeńskiej”. Píše też, że ten ruch, pod przywództwem i wpływem Marii Magdaleny, rozwijał się przez pierwsze trzy wieki, aż w końcu został brutalnie stłumiony przez cesarza Konstantyna.

Nie istnieją żadne fakty, które o tym świadczą. Nic takiego się nie zdarzyło.

Wczesne chrześcijaństwo było oczywiście zróżnicowane. Nie ulega wątpliwości, że trwały intensywne dyskusje o tożsamości Jezusa i Jego nauczaniu. Wiemy też, że w niektórych społecznościach kobiety pełniły kierownicze funkcje w Kościele (np. diakonise) – ostatecznie takie tendencje jednak wygasły (i ożywiały się sporadycznie w późniejszych okresach).

Jednak żadne różnice, zmiany i spory w historii wczesnego chrześcijaństwa nie wyglądały tak, jak to sugeruje *Kod*. Kiedy przywódcy wczesnego chrześcijaństwa szukali potwierdzenia prawdziwości chrześcijańskiego nauczania, kryterium ich myślenia i działania nie miało nic wspólnego z płcią lub władzą. Kryterium tym, jak możemy to sprawdzić w ich własnych pismach, jeśli zadamy sobie trud, żeby je czytać, była wierność temu, co Jezus mówił i czynił.

Nasza wiedza o wczesnym chrześcijaństwie zapewne nie jest pełna. Są takie kwestie, które były otwarcie dyskutowane przez poważnych badaczy przez lata. Czasami nawet po dwóch tysiącach lat wychodzą na światło dzienne

nowe fakty, dzięki którym nasza znajomość historii staje się coraz lepsza. Jednak nigdzie, w żadnej istotnej pracy badawczej nie znajdzie się potwierdzenia, że ktoś bierze poważnie pod uwagę sugestię, iż Jezus posłał Marię Magdalenę, by głosiła ideę „sakralności żeńskiej”.

W wiarygodnych źródłach nie ma ani jednej wzmianki o czymś takim. W świetle źródeł naukowych teorie Browna – na niemal każdy temat: od istoty mitu o Graalu do roli „boskiej bogini” w starożytności – okazują się zupełnie bezpodstawne.

Czytając jego powieść, znajdziemy wiele zaskakujących lub błędnych twierdzeń z najrozmaitszych dziedzin: od topografii Paryża do biografii Leonarda da Vinci. Nie ma żadnego powodu, by traktować *Kod* jako choćby częściowo wiarygodne źródło informacji z jakiegokolwiek dziedziny, z wyjątkiem być może kryptografii.

„Spokojnie, to tylko powieść”

Kod Leonarda da Vinci wywołał spore poruszenie. Jednocześnie pojawiły się głosy, żeby zostawić całą tę sprawę w spokoju, pozwolić jej przycichnąć. Ciągłe słyszę takie opinie.

„To tylko powieść” – mówią niektórzy ludzie. „Každy wie, że to literacka fikcja. Co szkodzi, żeby potraktować tę książkę jako zwykłą rozrywkę?”

Jest parę powodów, dla których nie można tego zrobić.

Przede wszystkim nie ma czegoś takiego jak „tylko powieść”. Kultura nie jest nigdy obojętna. Kultura zawsze niesie jakiś przekaz. Jej treść i wpływ zawsze powinny być przedmiotem naszego zainteresowania, bez względu na to, czy mówimy o malarstwie, rzeźbie, filmie, muzyce czy literaturze.

Ponadto Brown sugeruje, że jego powieść to coś więcej niż tylko wytwór wyobraźni. Zachęca czytelników, by zaakceptowali jego tezy historyczne jako prawdziwe.

Oczywiście, niemal od samego początku chrześcijaństwa istniała tradycja łączenia znanych faktów z życia Jezusa z wymyślonymi opowieściami – można ją porównać z żydowską tradycją *midrasz*. Mamy na przykład mnóstwo legend o Świętej Rodzinie, jak choćby ta, która opowiada, że rozmaryn otrzymał swój słodki zapach po tym, jak w czasie ucieczki do Egiptu Maryja wysuszyła swój płaszcz na krzaku rozmarynu.

Sztuka chrześcijańska przez wieki była wypełniana interesującymi, często pouczającymi szczegółami, których nie ma w *Piśmie Świętym* i Tradycji. Także w ostatnich latach twórcy literatury pięknej mają swój udział w tym nurcie, wykorzystując historię Jezusa jako kanwę powieści. Spośród wielu przykładów wymieńmy tu dwa: *Szata* Lloyda C. Douglasa i *The Silver Chalice* Thomasa Costaina (w tej drugiej książce pojawia się także Święty Graal).

Fikcja historyczna jest bardzo popularnym zabiegiem literackim, lecz jej twórcy zawierają z czytelnikiem pewną niepisaną umowę: obiecują, że chociaż w powieści są fikcyjni bohaterowie i wymyślona akcja, to najważniejsze wydarzenia historyczne są prawdziwe. Wiele osób lubi czytać powieści historyczne, ponieważ jest to łatwy i przyjemny sposób poznawania historii. Czytelnicy zakładają, że autor mówi prawdę o historii.

Kod Leonarda da Vinci jest jednak inny.

W powieściach historycznych zarówno autor, jak i czytelnik rozumieją różnicę pomiędzy znanymi faktami a wymyślonymi szczegółami i przyjmują zasadę odpowiedzialnego relacjonowania wydarzeń historycznych. Natomiast w *Kodzie* wymyślony szczegół i falszywa histo-

ryczna teza są zaprezentowane jako fakty i owoc poważnych badań historycznych, choć nimi nie są.

Brown podaje długą bibliografię prac wykorzystanych przy pisaniu powieści – sprawiają one wrażenie dzieł historycznych, mimo że większość z nich nie przedstawia żadnej wartości historycznej.

Na początku powieści Brown prezentuje listę „faktów”. Najpierw stwierdza, że zarówno Zakon Syjonu, jak i Opus Dei są realnie istniejącymi organizacjami, a następnie pisze: „Wszystkie opisy dzieł sztuki, obiektów architektonicznych, dokumentów oraz tajnych rytuałów zamieszczone w tej powieści odpowiadają rzeczywistości”. Nie ma wprawdzie na tej liście „opisu początków chrześcijaństwa”, lecz pośrednio zawiera się to w pojęciu „dokumenty”. Co ważniejsze, wszystkie tezy Browna o historii chrześcijaństwa są wkładane w usta powieściowych naukowców – Langdona i Teabinga, którzy cytują faktycznie istniejące współczesne opracowania i którzy swoje twierdzenia poprzedzają takimi frazami jak: „historyków do dziś zdumiewa...”, „na szczęście dla historyków...” czy „wielu badaczy twierdzi...”.

Te „naukowe” rozmowy z udziałem Langdona i Teabinga pełnią funkcję nośnika idei zaczerpniętych z *Holy Blood*, *Holy Grail*, Margaret Starbird i podobnych im „źródeł”. Zasadą tej propagandy jest imitowanie „naukowości”: pomysły „nie z tej ziemi” są przedstawiane jako prawdy, usankcjonowane przez „historyków” i „badaczy” na całym świecie.

Co więcej, Brown w udzielanych przez siebie wywiadach otwarcie mówi o swoich metodach i celu. Często powtarza, że cieszy się z możliwości dzielenia się swoimi odkryciami z czytelnikami, gdyż chce uczestniczyć w opowiadaniu tej „zagubionej historii”. Innymi słowy, Brown sugeruje, że próbuje poprzez *Kod* uczyć historii:

„Dwa tysiące lat temu żyliśmy w świecie Bogów i Bogiń. Dzisiaj żyjemy w świecie tylko Bogów. Kobieta w większości kultur została odarta z duchowej mocy. Powieść dotyka pytań, w jaki sposób i dlaczego dokonała się ta cywilizacyjna zmiana (...) i jaką lekcję możemy wyciągnąć z tego na przyszłość” (www.danbrown.com).

I czytelnicy, w zaskakująco dużym stopniu, przyjmują te teorie jako fakty. Żeby się o tym przekonać, wystarczy przeczytać recenzje czytelników na www.amazon.com lub przyrzeć się publikowanym w gazetach historyjkom, ilustrującym wpływ tej książki.

A zatem nie jest to „tylko powieść”. *Kod*, używając beletrystycznej formy, chce uczyć historii. Zerknijmy zatem na „plan lekcji”.

SEKRETY I KŁAMSTWA

W *Kodzie Leonarda da Vinci* najważniejsze są sekrety: tajne organizacje, tajemna wiedza, tajne dokumenty i nawet – sekrety rodzinne.

Najważniejsze sekrety dotyczą, rzecz jasna, Jezusa i Marii Magdaleny. Bohaterowie powieści często powtarzają, że tradycyjne chrześcijańskie rozumienie życia Jezusa i Jego posłannictwa jest fałszywe. Oznaczałoby to zatem, że *Nowy Testament* jest całkowicie niegodnym zaufania źródłem informacji.

To stanowi istotę problemu. I nie wolno tego ominąć. Można rozważać najrozmaitsze hipotezy, jeśli kogoś to bawi, lecz dawanie wiary twierdzeniom *Kodu* oznacza w konsekwencji odrzucenie ewangelicznego przekazu o Jezusie, Jego posłannictwie i początkach chrześcijaństwa.

Czy to rozsądne stanowisko? Czy *Nowy Testament* jest rzeczywiście bezużyteczny lub, co gorsza, kłamliwy?

Rozważmy najpierw następującą kwestię: czy źródła, na których opiera się Brown, są lepszymi niż *Nowy Testament* źródłami wiedzy o Jezusie?

Na przykład wszystkie te „ewangelie”, o których ciągle mówią bohaterowie Browna, te sekretne pisma: czy powinniśmy uwierzyć, że podają prawdę o Jezusie?

Zobaczmy.

Pisma gnostyckie

Jak zaznaczyliśmy wcześniej, Brown czerpie swoje idee o Jezusie, Marii Magdalenie i Świętym Graalu z pseudo-historycznych ksiązek, takich jak: *Holy Blood*, *Holy Grail* i *The Templar Revelation*. Kiedy opisuje rzekome posłannictwo Jezusa i rolę Marii Magdaleny, odwołuje się także do innych źródeł. Zwłaszcza na stronie 299 i następnych, gdzie Teabing przedstawia gnostyckie „ewangelie” jako dowód prawdziwości swoich teorii. Opowiada, że „ewangelie” te „mówią o posłudze Chrystusa w bardzo ludzkich kategoriach” i cytuje ich fragmenty opisujące bliskie relacje Jezusa i Marii Magdaleny oraz zazdrość Apostołów z powodu jej wyróżnienia.

Teabing wyjaśnia, że pisma te ujawniają prawdziwą rolę Marii Magdaleny jako najważniejszego „Apostoła” Jezusa oraz naświetlają tło konfliktu pomiędzy nią a Piotrem, co z kolei doskonale współgra z teoriami przedstawionymi w innych przywoływanych przez niego książkach.

Ale czy gnostyckie pisma zasługują na taką reklamę, jaką robi im Brown? Czy są godne zaufania jako źródło wiedzy o życiu, nauczaniu i posłannictwie Jezusa? I czy Jezus jest w nich rzeczywiście przedstawiany jako „czarująco ludzki”, jak twierdzi Brown?

Te gnostyckie „ewangelie”, jak się je czasem nazywa, to stare dokumenty, które rzeczywiście istnieją. Nie są one, ściśle rzecz biorąc, ewangeliami, lecz wytworem gnostycyzmu – trudnego do zdefiniowania ruchu, który był bardzo rozpowszechniony w świecie starożytnym w II i III wieku po Chr. oraz przez parę następnych stuleci*.

* Współczesny New Age jest formą gnozy. Ostrzega przed nim dokument Stolicy Apostolskiej: *Jezus Chrystus dawcą wody żywej*, wydany przez Komisję do Spraw Kultury i Komisję do Spraw Dialogu Między Religiami w 2003 roku. Wydaje się, że książka Browna jest owocem New Age. (przyp. konsult.)

Gnostycyzm nie był ruchem zorganizowanym. Pomiedzy poszczególnymi gnostyckimi sektami istniały wyraźne różnice, ale gnostyckie koncepcje i sposoby myślenia przeniknęły do innych systemów intelektualnych tego okresu. Zjawisko to można porównać do wpływu modnego obecnie ruchu ideologicznego, kształtującego się w Ameryce przez ostatnie dwadzieścia lat, który koncentruje uwagę ludzi na tym, jak radzić sobie w życiu i jak wzmacniać poczucie własnej wartości. Gdziekolwiek się nie spojrzy, widzi się nawoływania do „bycia swoim najlepszym ja” i do uczy-nienia z samodoskonalenia i samorealizacji najważniejszej rzeczy w życiu. Stykamy się z tym w programach telewizyjnych, filmach, biznesie, edukacji, a nawet w kościołach. Nie jest to ruch zorganizowany, uzewnętrznia się na różne sposoby, mniej lub bardziej widoczne, lecz jego obecność w życiu publicznym jest oczywista.

Gnostycki sposób myślenia, przybierając różne formy w różnych miejscach i czasie, zazwyczaj obejmuje kilka powiązanych ze sobą założeń:

- Źródło dobra i prawdziwego życia ma charakter czysto duchowy.
- Materialny, cielesny świat jest zły.
- Człowiek to duchowa „iskra” zamknięta w więzieniu materialnego ciała.
- Zbawienie – czyli uwolnienie uwięzionego ducha – można osiągnąć poprzez zdobycie tajemnej wiedzy (*gnosis*).
- Tylko nieliczni wybrańcy są godni tego, by otrzymać tę wiedzę.

Elementy gnostycyzmu oddziaływały także na myślenie niektórych chrześcijan. Gnostycyzm był szczególnie atrakcyjny w II i III wieku; stał się dla myślicieli chrze-

ścijańskich pierwszym poważnym teologicznym wyzwaniem. Gnostyckie mutacje chrześcijaństwa zazwyczaj źle mówią o *Starym Testamencie*, deprecjonują człowieczeństwo Jezusa lub nawet mu zaprzeczają, pomijają Jego mękę i krzyż.

Niektóre dzieła z II i III wieku, stanowiące chrześcijańską odpowiedź na gnostycyzm, są łatwo dostępne w bibliotekach oraz Internecie: *Adversus haereses* Ireneusza, *Adversus Marcionem* Tertuliana oraz *Elenchos* Hipolita Rzymskiego.

Gnostycy opisywali swoje wierzenia, przyciągali następców, angażowali się w nauczanie i tajne rytuały. Przez dziewięć lat swojej młodości również św. Augustyn był członkiem gnostyckiej sekty manichejczyków, którą ostatecznie porzucił po przeanalizowaniu niekonsekwencji i absurdów manicheizmu (patrz: *Wyznania*, ks. III-V).

Brown konstruuje swój obraz Jezusa, opierając się na pismach stworzonych przez zwolenników gnostyckich wersji chrześcijaństwa. Ten nurt myślowy pochodzi z II i III wieku, co oznacza, że pisma, które rzekomo mają ujawniać tajemną wiedzę o Jezusie, powstały właśnie w tym okresie – a więc sto lat po ukrzyżowaniu Jezusa, dużo później niż wszystkie księgi *Nowego Testamentu* (które powstały w I wieku).

A zatem, rzetelnie i rozsądnie rzecz biorąc, musimy zadać sobie pytanie: dlaczego to mamy wierzyć, że te późniejsze dokumenty mówią nam więcej o Jezusie niż dokumenty wcześniejsze?

Osobną kwestią jest przyjrzenie się treści pism gnostyckich, co zrobimy później.

„Inne” ewangelie

Teraz zajrzyjmy do dwóch dokumentów, którym bohaterowie *Kodu* poświęcają szczególną uwagę: *Ewangelii Filipa* i *Ewangelii Marii*. Teabing cytuje ich fragmenty wskazujące na specyficzność związku Jezusa i Marii Magdaleny oraz zazdrość Apostołów.

Ewangelia Filipa była jednym z dokumentów odkrytych w 1945 roku w Nag Hammadi w Egipcie. Zdumiewające znalezisko było zapieczętowanym w dzbanie zbiorem czterdziestu pięciu (nie licząc duplikatów) różnych dokumentów, zapisanych w języku koptyjskim, skopiowanych przez anonimowych mnichów. Niemal wszystkie dokumenty zawierały elementy gnostyckie, niektóre z nich odzwierciedlały wierzenia gnostycko-chrześcijańskie. Badacze stwierdzili, że powstały one w IV wieku, chociaż wiele z nich to kopie dokumentów, które powstały wcześniej, ale niewiele wcześniej. Jak pisze Philip Jenkins w książce *The Hidden Gospels*, cytowana przez Teabinga *Ewangelia Filipa* (w której Maria Magdalena jest nazwana „towarzyszką” Jezusa) powstała, według badaczy, nie wcześniej niż w 250 roku. To aż dwieście lat po ukrzyżowaniu Jezusa. Jest to „ewangelia” tylko z nazwy – podobnie jak inne teksty gnostyckie, jest napisana w zupełnie innym stylu. Kanoniczne Ewangelie mają wyraźną, ekspresyjną narrację, jest w nich wyeksponowana męka Chrystusa, Jego ukrzyżowanie i zmartwychwstanie. *Ewangelia Filipa* jest zagmatwanym, niespójnym zbiorem wypowiedzi w formie dialogowej, co stanowi jednoznaczne odbicie gnostyckiego myślenia.

Brown pisze, że manuskrypty z Nag Hammadi były zwojami. To błąd. Były to kodeksy – wcześniejsza forma książki.

To samo można powiedzieć o *Ewangelii Marii*, także znalezionej w Nag Hammadi. Jest ona krótsza niż *Ewangelia Filipa* i ma nieco bardziej rozbudowaną fabułę: Jezus przemawia do uczniów, a następnie odchodzi; Maria Magdalena stara się podtrzymać ich na duchu, dzieląc się z nimi wiedzą, którą przekazał jej Jezus – dobrze przyjmowaną przez niektórych uczniów, ale kontestowaną przez innych. Przyjrzymy się temu dokumentowi bliżej w następnym rozdziale, teraz odniesiemy się jedynie do jego wartości jako źródła informacji o życiu i nauczaniu Jezusa.

Ewangelia Marii opisuje m.in. wchodzenie duszy na różne poziomy życia po śmierci. Jest to idea typowa dla gnostyckiego myślenia u schyłku II wieku i z tego powodu przeważająca większość badaczy uznaje, że dokument ten powstał najwcześniej w tym właśnie okresie.

Bohaterowie powieści Browna twierdzą, że manuskrypty z Nag Hammadi, podobnie jak dokumenty znad Morza Martwego (odkryte w 1947 roku, a nie w latach 50., jak twierdzi Brown), opowiadają „prawdziwą historię Graala”. Szczerze mówiąc, jest to zaskakujące. Dwa z czterdziestu pięciu tekstów z Nag Hammadi opisują szczególną (lecz na pewno nie małżeńską) relację Jezusa i Marii Magdaleny – przy czym jest to jedynie forma przekazu gnostyckiego nauczania. Nie ma najmniejszej wzmianki o jakichkolwiek innych szczegółach „historii Graala” – wbrew temu, co pisze Brown. Co więcej, rękopisy znad Morza Martwego w ogóle nie zawierają tekstów chrześcijańskich. Są to teksty pozostawione przez żydowską sektę zwaną „esseńczykami”. O Jezusie, Marii Magdalenie i Świętym Graalu nawet nie wspominają.

Co możemy zatem powiedzieć o tych gnostyckich pismach? Są one cenne dla badań historycznych nad gnostyko-chrześcijańskimi hybrydami z wieku II i późniejszych. Pokazują, jak te środowiska wykorzystywały historię Jezusa

znaną z Ewangelii synoptycznych (tzn. Ewangelii według: św. Mateusza, św. Marka i św. Łukasza, bardzo już wtedy rozposzechnionych) i przerabiała ją dla własnych celów. Mówią nam też trochę o konfliktach wewnątrz tych środowisk.

Jednak z pewnością nie mówią nic nowego, a jednocześnie prawdziwego, o Jezusie z Nazaretu i Jego uczniach.

Badacz *Pisma Świętego* John P. Meier w swojej książce *A Marginal Jew* tak podsumowuje ustalenia naukowców: „Treść tych dokumentów to (...) reakcja na teksty *Nowego Testamentu* lub przeróbki tych tekstów (...) dokonane przez gnostyko-chrześcijan, rozwijających jakiś system spekulatywny. Ich wersje słów i czynów Jezusa mogłyby być włączone do »zbioru materiałów o Jezusie«, gdybyśmy ten zbiór rozumieli jako po prostu wszystko to, co jakiegokolwiek starożytne źródło kiedykolwiek uznało za pochodzące od Jezusa. Lecz taki zbiór jest raczej jak sieć w *Ewangelii według św. Mateusza* (patrz: Mt 13, 47-48), z której dobre ryby wczesnej tradycji muszą być zebrane w naczyniach poważnych badań historycznych, podczas gdy złe ryby późniejszego łączenia przeróbek z konfabulacjami muszą być odrzucone z powrotem w ciemne morze niekrytycznego umysłu (...). Siedzimy na plaży, sortujemy zawartość sieci i wyrzucamy *agrapha*^{*}, apokryfy^{**} i *Ewangelię Tomasza* z powrotem do morza” (str. 140).

A więc „ewangelie” Filipa, Marii Magdaleny i Tomasza – z powrotem do ciemnego morza! Są one bowiem po

^{*} Są to niespisane w Ewangeliiach powiedzenia Jezusa. Klasyczny przykład to: „więcej szczęścia jest w dawaniu aniżeli w braniu” (*Dzieje Apostolskie* 20, 35). (przypp. konsult.)

^{**} Najogólniej ujmując, są to pisma mówiące o życiu Jezusa i gmin wczesnochrześcijańskich, które nie zostały uznane za *natchnione*, a więc nie należące do kanonu *Pisma Świętego*. Grecki termin *apokryphos* (od czasownika *apokrypto*, czyli „ukrywać”) w kulturze hellenistycznej, tzn. w religiach misteryjnych i systemach filozoficznych, oznaczał księgę

prostu bezużyteczne, gdy staramy się zrozumieć posłannictwo Jezusa i początki chrześcijaństwa.

Warto przeczytać*

Apokryfy Nowego Testamentu, cz. 1 i 2, pod red. ks. M. Starowieyskiego, Kraków 2003.

P. Jenkins, *The Hidden Gospels: How the Search for Jesus Lost Its Way*, Oxford University Press 2001.

Pytania powtórzeniowe

1. Czym był gnostycyzm?
2. Dlaczego pisma gnostyckie nie są wiarygodnymi źródłami informacji o Jezusie?

Kwestie do dyskusji

1. Jakie ślady gnostyckiego myślenia można zauważyć we współczesnym świecie?
2. Jak sądzisz, dlaczego dla niektórych to, co mówią o Jezusie pisma gnostyckie, mogłoby być bardziej atrakcyjne niż to, co mówią o Nim Ewangelie?

zawierającą tajemną i ezoteryczną wiedzę, niedostępną dla profanów, przeznaczoną jedynie dla tych, którzy poddali się wtajemniczeniu. (przyp. konsult.)

* Wszystkie pozycje polskie w bibliografii pochodzą od redakcji. (przyp. red.)

KTO WYBRAŁ EWANGELIE?

Jeśli zamierzasz uczyć się historii chrześcijaństwa z *Kodu Leonarda da Vinci*, oto lekcja na dzisiaj.

Według Browna, Jezus był tylko człowiekiem, „mądrym nauczycielem”, o którego życiu było w pierwszych wiekach wiele – „tysiące” (str. 296) – różnych zapisów. Tak naprawdę – więcej niż osiemdziesiąt ewangelii. Ale tylko cztery z nich zostały wybrane i włączone do *Biblii*! Kto to zrobił? Cesarz Konstantyn w roku 325!

Zatem w następstwie Soboru Nicejskiego, stwierdza *Kod Leonarda da Vinci*, te „tysiące” prac, opisujących życie Jezusa jako zwykłego śmiertelnika, zostało zdyskredytowanych i zakazanych z motywów politycznych. Langdon opowiada, że ci, którzy pozostali wierni historii Jezusa-śmiertelnika (określonej przez niego mianem „pierwotnej historii Chrystusa”), zostali nazwani „heretykami” (str. 300).

Aż do tego momentu naprawdę mocno starałam się utrzymać wyważony, obiektywny ton analizy, ale tutaj została przekroczona jakaś granica i dlatego konieczne jest nazwanie pewnych rzeczy wprost, „bez ogródek”.

To jest więcej niż fałsz – to czysta fantazja. Nawet najbardziej niechętni Kościołowi badacze i najbardziej areligijne ośrodki uniwersyteckie nie podpisałyby się pod tą opowieścią Browna o formowaniu się *Nowego Testamentu*. Jest ona niepoważna, więc nie dajmy się na nią nabrać. Spójrzmy na tę przedziwną konstrukcję

przeszłości jak na jeszcze jeden wielki znak ostrzegawczy, by nie dawać wiary temu, że cokolwiek w *Kodzie* jest prawdziwe. Potraktujmy to jako okazję do poznania dużo bardziej interesującej historii o tym, jak naprawdę powstał *Nowy Testament*.

Szokująca nowość?

W powieści Browna czytamy, że uczoney Teabing najwyraźniej szokuje Sophie, gdy obwieszcza: „Biblia nie przyszła do nas faksem z niebios” (str. 295). Ma to być niby zaskakująca swoją odkrywczością informacja – fundament dla teorii Teabinga.

Próbuje się nam wmówić, że jeśli *Biblia* nie przyszła do nas faksem, kompletna, w formie skończonej książki i ze spisem treści napisanym ręką Boga, to jedynym alternatywnym scenariuszem jest powstanie *Pisma Świętego* w wyniku czysto ludzkich zabiegów – po prostu pewni ludzie, kierując się żądzą władzy, wybrali z wielu równorzędnych opowieści o Jezusie to, co im pasowało, i tak właśnie powstał *Nowy Testament*.

W rzeczywistości było zupełnie inaczej.

Przede wszystkim, proces ustalania kanonu *Pisma Świętego* nie jest żadną tajemnicą, to historia dobrze znana. Wystarczy pójść do biblioteki, wypożyczyć jakąś książkę na ten temat i zapoznać się z opisem tego procesu.

Następna kwestia – udział ludzi w tym procesie nie oznacza, że *Pismo Święte* nie jest natchnione.

Ponadto, Jezus nie pozostawił nam egzemplarza *Nowego Testamentu*, zanim wstąpił do nieba; Jezus pozostawił nam Kościół – Apostołów, Maryję, innych uczniów, zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Pamiętając, jak ważne jest *Pismo Święte*, że jest fundamentalnym i pewnym źródłem Objawienia, dobrze jest jednocześnie pamiętać (nawet

jeśli się to wyda trochę zaskakujące), że początkowo (przez kilka dekad) chrześcijanie żyli, nauczali i czcili Boga bez *Nowego Testamentu*. Wiara pierwszych chrześcijan była zbudowana na *Starym Testamencie* i na ustnym nauczaniu opartym na świadectwie Apostołów. Wiara ta była kształtowana i ożywiana przez spotkania z żyjącym Panem – w chrzcie, Eucharystii, odpuszczaniu grzechów, oraz przez życie w łączności z innymi chrześcijanami.

Z tego Kościoła – Ciała żyjącego Pana – wyszły księgi *Nowego Testamentu*, świadectwo uczniów Jezusa, ostatecznie spisane i zredagowane.

Nie było faksu z nieba? Naprawdę nie ma problemu. Może było to duże odkrycie dla biednej Sophie, ale nie dla nas.

Słowa i czyny Jezusa

Od samego początku pewne teksty chrześcijańskie były cenniejsze niż inne.

Działo się tak z kilku powodów: pochodziły one z czasów Apostołów, wiernie zachowywały słowa i czyny Jezusa, mogły być używane w liturgii, modlitwie i nauczaniu, do dokładnego przekazywania pełni wiary całej wspólnotie chrześcijańskiej.

Proszę zwrócić uwagę na nieobecność na tej liście takich pojęć, jak „sakralność żeńska” lub „moc kobiecości”.

Do połowy II wieku chrześcijanie zaczęli przypisywać szczególną wartość (zakorzenioną w czymś, co miało być nazwane „prawdy wiary”) dwóm zbiorom pism: Ewangeliom według św. Mateusza, Marka, Łukasza i Jana oraz listom św. Pawła.

Skąd wiemy, że właśnie te pisma były szczególnie cenniejsze? Ponieważ to one były czytane w czasie nabożeństw i do nich nawiązywały inne znane nam pisma chrześcijańskich autorów.

„Ewangelia” to grecki termin oznaczający „dobrą nowinę”. Ewangelia jest Dobrą Nowiną o zbawieniu dokonanym przez Jezusa Chrystusa. Ewangelie są zapisem tej Dobrej Nowiny.

Zwróćmy zatem uwagę, że wbrew temu, co mówi Brown, nie było żadnych osiemdziesięciu ewangelii w obiegu. Ta liczba zupełnie nie ma oparcia w faktach.

Oczywiście, istniały inne ewangelie oprócz czterech Ewangelii z *Nowego Testamentu*. Św. Łukasz pisze o tym na początku swojej Ewangelii: „Wielu już starało się ułożyć opowiadanie o zdarzeniach, które się dokonały pośród nas, tak jak nam je przekazali ci, którzy od początku byli naocznymi świadkami i sługami słowa. Postanowiłem więc i ja zbadać dokładnie wszystko od pierwszych chwil i opisać ci po kolei, dostojny Teofilu, abyś się mógł przekonać o całkowitej pewności nauk, których ci udzielono” (Łk 1, 1-4).

Badacze uważają, że jednym ze źródeł Ewangelii jest zbiór mów Jezusa. Oprócz Ewangelii kanonicznych, w ograniczonym zakresie funkcjonowały jeszcze: *Ewangelia Piotra*, *Ewangelia Egipcjan* i *Ewangelia Hebrajczyków*.

Jest rzeczą udowodnioną, że już w pierwszej połowie II wieku Ewangelie według św. Mateusza, Marka, Łukasza i Jana były pierwszorzędnymi źródłami, których Kościół używał w liturgii i nauczaniu.

Interesująca jest też druga kategoria pism, czytanych w Kościele w czasie nabożeństw, i to dużo wcześniej niż zostały spisane Ewangelie: listy św. Pawła.

Tak, to prawda – pierwszymi napisanymi księgami *Nowego Testamentu* były listy św. Pawła. Najwcześniejszy był prawdopodobnie *Pierwszy List do Tesaloniczan*, napisany około 50 roku. Św. Paweł stał się uczniem Chrystusa dwa lub trzy lata po Jego śmierci i zmartwychwstaniu. Spędził resztę życia podróżując, nawracając pogan i umac-

niając wspólnoty chrześcijańskie. Zginął w Rzymie śmiercią męczeńską. Św. Paweł napisał wiele listów do założonych przez siebie wspólnot. Po jakimś czasie wspólnoty te zaczęły sporządzać kopie jego listów i wysyłać je do innych chrześcijan. Zbiór listów św. Pawła był w powszechnym użyciu w Kościele już pod koniec I wieku.

Podsumujmy teraz krótko to, do czego dotychczas doszliśmy.

Od samego początku relacje o życiu Jezusa, które ostatecznie zostały zebrane w cztery znane nam Ewangelie, krążyły wśród chrześcijan i były przyjmowane jako wierne opowieści o Nim oraz Jego działalności, i traktowane jako autentyczne źródło kontaktu z żyjącym Chrystusem. Krążyły także listy św. Pawła. Pisma te były wykorzystywane, razem ze *Starym Testamentem*, w liturgii. Były również cytowane przez autorów chrześcijańskich. Historia, którą opowiadały o Jezusie – jako Tym, którego posłał Bóg, by pojednać świat ze sobą, Tym, który cierpiał, umarł, zmartwychwstał i wciąż żyje jako nasz Pan – była historią, która ukształtowała myślenie, kult i życie pierwszych chrześcijan.

Mówiąc z całkowitą pewnością – nieprawdą jest, że „istniały tysiące dokumentów składających się na kronikę jego (Jezusa – przyp. red.) życia jako śmiertelnika” (str. 299); nieprawdą jest, że było osiemdziesiąt innych ewangelii i że „rozważano” (str. 296) ich włączenie do *Nowego Testamentu*, jak gdyby na stole jakiegoś „komitetu ds. ewangelii” leżały sterty kodeksów i zwojów do posortowania.

Nie ulega wątpliwości, że Ewangelie według św. Mateusza, Marka, Łukasza i Jana były uważane za normatywne przez wspólnotę chrześcijańską już około połowy II wieku. Autorzy chrześcijańscy, tacy jak Justyn Męczennik, Tertulian i Ireneusz, wszyscy piszący i nauczający w tym właśnie okresie, odpowiednio w Rzymie, Północnej Afryce i Lyonie

(dzisiejsza Francja), odnosili się do czterech Ewangelii jako najważniejszego źródła informacji o Jezusie.

Kto zatem wybrał Ewangelie?

Cesarz Konstantyn tego nie zrobił.

„Niezliczone przekłady, dodatki i redakcje”

W swoim wykładzie o historii *Biblii*, po oznajmieniu, że *Pismo Święte* nie przyszło faksem, Teabing zwraca uwagę Sophie na „niezliczone przekłady, dodatki i redakcje” i twierdzi, że „nigdy w historii ludzkości nie było ostatecznej wersji tej książki” (str. 296).

Tak, to prawda – ale tylko w takim przypadku, kiedy przez „ostateczną wersję” rozumiemy „absolutnie oryginalne teksty, napisane ręką ich autorów”.

Brown ponownie stosuje argument, w który nie należy wierzyć.

Rzeczywiście jest wiele manuskryptów całych ksiąg *Nowego Testamentu* oraz części tych ksiąg. Więcej niż pięć tysięcy pochodzi z pierwszych wieków chrześcijaństwa (najwcześniejsze datujemy na 125-130 rok). Z tego więcej niż trzydzieści manuskryptów (z przełomu II i III wieku) zawiera „duże porcje całych ksiąg, a dwa – większość Ewangelii i *Dzieje Apostolskie* oraz listy św. Pawła” (ustalenia Williama Lane Craiga w: *Reasonable Faith*, str. 194).

Pomiędzy tymi manuskryptami są oczywiście nieznaczące różnice, lecz niezwykle ważne jest następujące ustalenie: „Jedynie fragmenty, w których istnieją rozbieżności obejmujące więcej niż jedno zdanie (rozbieżności te dotyczą najczęściej pojedynczych słów lub fraz), to w *Ewangelii według św. Jana* zdania: od 7, 53 do 8, 11, oraz w *Ewangelii według św. Marka* zdania: 16, 9-20. Generalnie około 97-99% *Nowego Testamentu* może być zrekonstruowane bez żadnych wątpliwości” (tamże).

Gdyby czytelnik czuł się zaniepokojony tymi „rozbieżnościami”, niech rozważy rzecz następującą: „Istnieje tylko dziewięć lub dziesięć dobrych manuskryptów *Wojny Galicyjskiej* Cezara (około 50 roku przed Chr.), a najstarszy z nich powstał dziewięćset lat po wydarzeniach, które opisuje. Tylko trzydzieści pięć ze stu czterdziestu dwóch ksiąg historii Rzymu Liwiusza przetrwało, w około dwudziestu manuskryptach, a najstarszy z nich pochodzi dopiero z IV wieku (Liwiusz zmarł około 12 roku po Chr.). Z czternastu ksiąg historii Rzymu Tacyty mamy tylko cztery i pół, w dwóch manuskryptach z IX i XI wieku. (...) Rzec w tym, że stopień udokumentowania *Nowego Testamentu* nieskończenie przewyższa stopień udokumentowania jakiegokolwiek innego starożytnego tekstu. (...) Nie ma absolutnie żadnych podstaw dla twierdzenia, że standardowe współczesne edycje greckiego *Nowego Testamentu* nie odpowiadają ściśle temu, co autorzy *Nowego Testamentu* napisali w rzeczywistości” (tamże).

Chrześcijanie rozumieją, że *Pismo Święte* jest rezultatem Bożego działania poprzez ludzkie umysły. Te umysły są ułomne i ograniczone, ale najistotniejsze jest to, że manuskryptowe udokumentowanie *Nowego Testamentu* jest, w wielkiej części, spójnym, starożytnym zapisem, a drobne różnice pomiędzy poszczególnymi manuskryptami nie dotyczą istotnych zmian znaczenia tekstu.

Formowanie kanonu *Pisma Świętego*

Pomiędzy chrześcijańskimi wspólnotami krążyły też inne, niż już wspomniane, teksty, niektórych z nich używano nawet w liturgii. Były to teksty dydaktyczne, takie jak *Didache* czy *Pasterz Hermasa*, oraz listy autorstwa innych Apostołów lub do nich skierowane. *Pierwszy List Klemensa*, napisany około 96 roku przez Kościół w Rzymie

do Kościoła w Koryncie, cieszył się dużą popularnością, szczególnie w Egipcie i Syrii. Ponadto było również kilka innych tekstów z „ewangelią” w tytule, wykorzystywanych przez różne wspólnoty chrześcijańskie, np. *Ewangelia Hebrajczyków*, *Ewangelia Egipcjan* i *Ewangelia Piotra*.

Dlaczego te teksty nie znalazły się w *Nowym Testamencie*?

Przyczyny tego można wskazać, ale od razu wyjaśnijmy, że nie mają one nic wspólnego ani z politycznymi machinacjami (jak sugeruje Brown), ani z Soborem Nicejskim, ani z cesarzem Konstantynem. Należy też podkreślić, że pisma gnostyckie, które Brown umieścił w centrum swoich teorii, nie były nigdy przez nikogo uważane za kanoniczne – prócz gnostyków, którzy je stworzyli.

Kanon (z greckiego słowa oznaczającego „wzorzec”) – zbiór ksiąg rozpoznanych przez Kościół jako natchnione przez Boga i zatwierdzonych do użytku w całym Kościele*.

Jak to się zdarza wiele razy w historii chrześcijaństwa, impuls do zdefiniowania ksiąg, które zostałyby zaakceptowane w celu użycia przez Kościół w liturgii, przyszedł jako odpowiedź na pewne wyzwanie.

Wyzwanie pojawiło się w połowie II wieku, z dwóch kierunków: jeden ruch starał się drastycznie zredukować liczbę ksiąg akceptowanych jako *Pismo Święte*, a drugi – przeciwnie, starał się dodawać nowe księgi.

* Przy określaniu kanonu ksiąg natchnionych najważniejsze kryteria to: apostołskość, czyli pochodzenie ksiąg od Apostołów, starożytność, to znaczy istnienie od początku chrześcijaństwa, i powszechność, czyli obecność w liturgii we wszystkich lub w większości wspólnot chrześcijańskich. (przyj. konsult.)

Pierwszy ruch, rozwijający się w Rzymie, był związany z ideami Marcjona. Odrzucał on Boga „sprawiedliwego” ze *Starego Testamentu*, przeciwstawiając Mu Boga „dobrego” z *Nowego Testamentu*. Uczył, że jedynymi ważnymi księgami *Pisma Świętego* jest dziesięć listów św. Pawła oraz odpowiednio zredagowana *Ewangelia według św. Łukasza*.

Drugie wyzwanie stanowił gnostycyzm, o którym mówiliśmy w poprzednim rozdziale, wraz z inną herezją zwaną „montanizmem”. Te mutacje chrześcijaństwa miały swoje własne święte księgi i pojawiało się naturalne pytanie: Jaka jest pozycja tych ksiąg? Czy opisują one wiernie prawdę o Jezusie?

Kościół znalazł się zatem pod presją z dwóch stron: Marcjon chciał usuwać księgi z *Pisma Świętego*, gnostycyzm nadawał swoim księgom rangę *Pisma Świętego*. Powstała potrzeba wyraźnej decyzji Kościoła.

Od razu wyjaśnijmy jedną sprawę. Potrzeba określenia kanonu *Pisma Świętego* nie wyniknęła z tego, że pewni ludzie sprawujący jakąś władzę poczuli, że ich pozycja jest zagrożona. W tym czasie chrześcijaństwo było religią mniejszościową, co jakiś czas prześladowaną przez rzymską władzę. Chrześcijanie ryzykowali wtedy wiele – nawet życie – by być wiernym Chrystusowi. Bycie wiernym Ewangelii nie dawało doczesnych korzyści, a na ogół wymagało ofiar.

Określenie kanonu *Pisma Świętego* było konieczne, gdyż konsekwencje wpływu idei Marcjona lub gnostycyzmu mogły okazać się groźne. Obydwa te nurty zniekształcały prawdę chrześcijańską. Obydwa odcinały się od tradycji starotestamentowej. Dodatkowo gnostycyzm zaprzeczał człowieczeństwu Jezusa, pomijał Jego mękę i śmierć. Obydwa nurty reprezentowały taki obraz Jezusa, który w głębokim stopniu nie zgadzał się z najwcześniejszymi

relacjami o Nim, utrwalonymi w Ewangeliach, listach św. Pawła oraz w życiu Kościoła.

Odpowiadając na te wyzwania, przywódcy Kościoła zaczęli definiować coraz wyraźniej kanon ksiąg właściwych do stosowania w liturgii i nauczaniu. Przez dwa wieki było to robione przez wspólne nauczanie oraz orzeczenia poszczególnych biskupów*. Poza powszechnie akceptowanym rdzeniem *Nowego Testamentu*, jakim były Ewangelie i listy św. Pawła, pozostawał jednakże pewien obszar niedookreślony. Niektórzy biskupi, szczególnie na Zachodzie, myśleli, że *List do Hebrajczyków* należy odrzucić, a niektórzy biskupi ze Wschodu nie byli pewni co do *Apokalipsy św. Jana*.

Wątpliwości nie dotyczyły jednak wartości duchowej tych dzieł. Wątpliwości odnosiły się zawsze do pewnych kryteriów, które zresztą były obecne w tym procesie od samego początku: Które księgi najlepiej urzeczywistniają to, kim Jezus był i jest dla całego Kościoła? Czy te księgi pochodzą z czasów apostołskich? Czy to, co one mówią o Jezusie, jest zgodne z tym, co mówią o Nim Ewangelie? Czy te księgi wpływają w istotny sposób na cały Kościół, czy też mają znaczenie wyłącznie lokalne?

Zwróćmy uwagę, że wśród tych kryteriów nie ma następującego: Czy te księgi ujawniają tajemną historię Jezusa

* Przy formowaniu się kanonu ksiąg świętych ważną rolę odgrywał tzw. *sensus fidei* Ludu Bożego, czyli zmysł wiary, który wskazywał wspólnotom i pojedynczym biskupom, które księgi są zgodne z prawdą, a które nie. W procesie kształtowania się kanonu ksiąg natchnionych widać jasno, że nie można izolować *Biblii* od Tradycji i wspólnoty Kościoła. Kościół katolicki nigdy nie zgodził się z protestancką zasadą *sola Scriptura* („tylko Biblia”), dlatego z wielką uwagą sięga do dzieł pisarzy pierwszych wieków chrześcijaństwa. Sobór Watykański II w konstytucji dogmatycznej o Objawieniu Bożym *Dei Verbum* nr 9 podkreśla: „Tradycja i Słowo Boże mają być więc zaakceptowane z taką samą czcią i respektem”. (przyp. konsult.)

i Marii Magdaleny, którą musimy ukryć przed światem? Nie, nie wydaje się, żeby to stanowiło problem.

Ostatecznie, kiedy chrześcijaństwo okrzepło i groźba prześladowań ustała, przywódcy chrześcijaństwa mogli się spotykać i podejmować decyzje dla całego Kościoła. Synod w Laodycei około 363 roku potwierdził wieki refleksji Kościoła, przyjmując listę ksiąg kanonicznych w takiej postaci, w jakiej ją znamy dzisiaj, z wyjątkiem *Apokalipsy św. Jana*. W 393 roku synod w Hipponie (w Północnej Afryce) ustalił kanon *Pisma Świętego* ostatecznie, włączając do niego *Apokalipsę św. Jana*. Ustalono także, że w kościołach mogą być czytane głośno właśnie księgi kanoniczne, a w święta męczenników – także opisy ich męki i śmierci.

Zwróćmy uwagę na te daty: 363 oraz 393 – to wiele lat po śmierci Konstantyna.

Ujmując rzecz krótko, proces formowania kanonu *Pisma Świętego* wyglądał tak: Apostołowie i inni uczniowie Jezusa byli świadkami Jego nauczania, posłannictwa, cudów, cierpienia, śmierci i zmartwychwstania. Zachowali to, co widzieli i słyszeli, i przekazali następcom. Kiedy teksty były spisywane, stale porównywano je z relacjami przekazanymi przez bezpośrednich świadków. Ostatecznie, w konfrontacji z innymi naukami, sprzecznymi z przekazami świadków, Kościół wskazał, które księgi mają związek z Apostołami i są zgodne z relacjami świadków – i dlatego mogą być wykorzystywane w liturgii i nauczaniu.

A zatem – nie ma tu żadnych tajemnic! Nie ma ukrytej wiedzy, rozpowszechnionej przez biskupów pod naciskiem cesarza Konstantyna. Cały proces – od pierwszych świadectw do stopniowego określania kanonu – był całkowicie jawny.

I nie ma żadnych utrzymywanych w tajemnicy relacji o Jezusie, ani nie ma osiemdziesięciu ewangelii. W powieści – mogą być, ale nie w rzeczywistości.

Kogo to obchodzi?

Może się wydawać, że to wszystko to mały problem. Niestety, tak nie jest. Wielu czytelników zostało zaniepokojonych wersją historii według *Kodu Leonarda da Vinci*. Z powieści wynika, że *Biblia*, w takim kształcie, jaki znamy, powstała w ten sposób, iż przywódcy Kościoła nieuczciwie odrzucili istotne relacje o Jezusie, i to tylko z tego powodu, że stanowiły one zagrożenie dla ich władzy.

Jak widzieliśmy – tak nie było. Tak, ludzie odegrali swoją rolę w określaniu kanonu, lecz ich decyzje nie były motywowane ani chęcią pogwałcenia kobiet, ani żądzą władzy. Decyzje te wynikały z poczucia obowiązku – bardzo poważnie odczuwanego, ze świadomości zadbania o to, by historia życia i posłannictwo Jezusa zostały zachowane, dokładnie i w całości, dla przyszłych pokoleń. Chrześcijanie wierzą, że decyzje te były inspirowane przez Ducha Świętego. Oczywiście, były też takie księgi, które nie spełniały określonych walorów – albo dlatego, że nie były uniwersalne (tzn. nie dotyczyły całego Kościoła), albo dlatego, że nie pochodziły z czasów apostoelskich. Jeszcze inne zostały odrzucone, ponieważ próbowały „podpierać” osobą Jezusa (a raczej kimś, kto nosząc imię „Jezus”, tak naprawdę mało przypominał prawdziwego Jezusa znanego z Ewangelii) nowe filozofie lub ruchy ideowe.

Czy nie brzmi to znajomo?

Warto przeczytać

F.F. Bruce i N.T. Wright, *The New Testament Documents: Are They Reliable?*, W.B. Eerdmans Publishing 2003.

E. Szymanek, *Biblia - zbiór świętych Ksiąg natchnionych. Apokryfy. Pisma qumrańskie*, Gniezno 1997.

H. Langkammer, *Wprowadzenie do ksiąg Nowego Testamentu*, Wrocław 1990.

J. Kelly, *Początki doktryny chrześcijańskiej*, Warszawa 1988.

A. Läpple, *Od egzegezy do katechezy*, Warszawa 1986.

Zob. www.biblijna.strona.pl

Pytania powtórzeniowe

1. Jak wyglądał proces ustalania kanonu *Pisma Świętego*?
2. Jakie kryteria były stosowane przy rozstrzygnięciu, które księgi włączyć do kanonu?

Kwestie do dyskusji

1. Dlaczego tak ważne było to, by ustalić kanon *Pisma Świętego*?
2. Jak można wytłumaczyć komuś, że *Biblię* możemy uważać za Słowo Boga, mimo że „nie przyszła do nas faksem z nieba”?
3. Jaka była rola Kościoła w ustalaniu kanonu?

PRZEGŁOSOWANIE BÓSTWA CHRYSTUSA

Według *Kodu Leonarda da Vinci* chrześcijaństwo, takie, jakim znamy je dzisiaj, jest dziełem nie Jezusa i Jego uczniów, lecz cesarza Konstantyna, który rządził Imperium Rzymskim w IV wieku.

Czy to prawda?

Oczywiście, nie.

Współczesne chrześcijaństwo nie jest jednolite, ale rdzeniem wiary chrześcijańskiej zawsze było to, że Jezus – prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek – jest Tym, przez kogo Bóg pojednał świat (i każdego z nas) ze sobą, oraz że do zbawienia (udziału w życiu Boga) prowadzi wiara w Jezusa, w Jego śmierć i zmartwychwstanie.

Brown chciałby nam wmówić, że wiara ta jest wytworem rzymskiego cesarza z IV wieku. Według Browna stało się to tak: Jezus był czczony jako mądry człowiek, nauczyciel. Pisma podkreślające Jego czysto ludzką naturę były bardzo rozpowszechnione. Tego typu pism było rzekomo tysiące. Kiedy Konstantyn doszedł do władzy, był zaniepokojony konfliktami pomiędzy chrześcijaństwem a pogaństwem, które groziły podziałem Imperium. Postanowił zatem poprzeć chrześcijaństwo, zebrał setki biskupów na Soborze w Nicei, a następnie przeforsował orzeczenie Soboru, iż Jezus jest Synem Bożym. I to już cała historia...

Bardzo, bardzo dziwna teoria... Najpierw ją dokładnie przeanalizujemy, a potem wrócimy do podstawowej kwestii: Bóstwa Jezusa.

Cesarz Konstantyn

Konstantyn (272-337) rozpoczął swoje rządy jako cesarz rzymski w roku 306. Utwierdził władzę w roku 312, kiedy to pokonał swojego rywala w słynnej bitwie na Moście Mulwijskim - przypuszczalnie umocniony i natchniony jakąś wizją, którą zinterpretował jako chrześcijańską.

Co dokładnie zobaczył Konstantyn i kiedy (przed tą bitwą czy też przed jakąś wcześniejszą bitwą) - nie jest jasne. Według niektórych relacji przedmiotem wizji były dwie greckie litery: „X” i „P” („chi” i „ro”), które są pierwszymi literami imienia Chrystusa: „Χριστός”, przy czym litery te miały być połączone w następujący sposób:



Według innych opisów Konstantyn zobaczył krzyż.

Aż do tego momentu wyznawanie chrześcijaństwa w Imperium Rzymskim było w zasadzie nielegalne. Kilka lat wcześniej (303-305) za rządów Dioklecjana chrześcijanie doświadczyli szczególnie okrutnych prześladowań, obejmujących obszar całego państwa.

Pozwólm sobie w tym momencie na małą dygresję. Zapytajmy, dlaczego Imperium Rzymskie miałoby

zadawać sobie tyle trudu, by więzić i torturować tych, którzy byli wierni jakiemuś „mądrymu nauczycielowi”? Dlaczego uczniowie tego „mądrego nauczyciela” mieliby stanowić takie niebezpieczeństwo dla Imperium? Istniało wtedy mnóstwo filozoficznych szkół i systemów na jego obszarze i nie były one prześladowane. Dlaczego właśnie chrześcijanie byli?

Z jakiegoś powodu – przypuszczalnie przebłysku prawdziwej wiary bądź obecności chrześcijan w jego własnej rodzinie, albo jakichś tajemniczych politycznych kalkulacji – Konstantyn wydał edykt tolerancyjny, kończący prześladowania chrześcijan, przynajmniej na jakiś czas.

W czasie swoich rządów Konstantyn nie tylko rozszerzył zakres tolerancji dla religii chrześcijańskiej, ale nawet ją uprzywilejował. Jego motywacje nie są jasne. Chciał na pewno zunifikować Imperium, poważnie nękane podziałami i konfliktami trwającymi przez całe stulecie. Religia była pewnie jakimś narzędziem w tych wysiłkach; prawdopodobnie Konstantyn czuł jej siłę, a jednocześnie słabnącą moc tradycyjnej rzymskiej religii. Przypuszczalnie wpływali na niego chrześcijańscy myśliciele z jego otoczenia oraz niektórzy członkowie jego własnej rodziny. W każdym razie Konstantyn podjął decyzję, by pozwolić chrześcijaństwu być siłą jednoczącą Imperium.

To wszystko może być dla nas dziwne, bo jesteśmy przyzwyczajeni do rozdziału Kościoła od państwa, ale w świecie starożytnym taki rozdział nie istniał. Każde państwo postrzegało siebie jako wspierane w pewien sposób przez czynnik boski, czuło się więc odpowiedzialne za popieranie instytucji religijnych. Aż do czasów Konstantyna funkcję takich instytucji pełniły pogańskie świątynie rzymskich bogów. Kiedy Konstantyn wsparł religię chrześcijańską, w sposób naturalny przyjął ten sam tryb postępowania w odniesieniu do instytucji chrześcijańskich, finansu-

jąc budowę kościołów i wtrącając się w sprawy Kościoła w sposób, który dziś może nas dziwić.

Brown twierdzi, że Konstantyn ustanowił chrześcijaństwo oficjalną religią Imperium Rzymskiego. Było inaczej. Konstantyn dał chrześcijaństwu silne państwowe wsparcie, ale chrześcijaństwo nie stało się oficjalną religią Imperium; zostało nią po objęciu tronu przez cesarza Teodozjusza, który rządził w latach 379-395.

Sobór Nicejski

Konstantyn rzeczywiście zwołał w roku 325 Sobór w Nicei (w Azji Mniejszej, na terenie dzisiejszej Turcji). Było to drugie zgromadzenie biskupów, które zwołał w czasie swoich rządów. Chociaż nie wszyscy biskupi przybyli (prawie żaden z Zachodu), celem Soboru pozostało podjęcie decyzji dotyczących całego Kościoła, dlatego został nazwany „soborem ekumenicznym”.

Dlaczego Konstantyn zwołał Sobór Nicejski?

Według Browna – ponieważ chciał zmienić chrześcijaństwo w taki sposób, by uczynić je silniejszym i skuteczniejszym narzędziem realizacji swoich własnych celów. „Mądry nauczyciel” Jezus – zwykły śmiertelnik – nie przedstawiał żadnej wartości dla niego, ale Syn Boży byłby już bardzo użyteczny.

Naprawdę musimy zatrzymać się nad tą teorią, bo jest zadziwiająca. Oto mamy trzystu biskupów zebranych w Nicei – biskupów, którzy zdaniem Browna wierzyli,

¹ Sobór ekumeniczny to zgromadzenie biskupów z całego Kościoła. Sobory biorą swoją nazwę od miejscowości, w których się odbywają. Katolicy uznają 21 soborów ekumenicznych, poczynając od Soboru Nicejskiego, a kończąc na Soborze Watykańskim II (1962-1965). (przyj. aut.)

że Jezus był tylko „śmiertelnym prorokiem” (s. 298). I Konstantyn polecił im, by ogłosili, że Jezus jest Bogiem.

A oni powiedzieli: „Zgoda! Wszystko, co tylko chcesz, Cesarzu!”.

Nie, to nie jest logiczne, źródła mówią coś innego. Nic takiego się nie zdarzyło.

Dlaczego nie jest to logiczne? Choćby dlatego, że kiedy badamy, co robili ci biskupi, zanim spotkali się w Nicei – liturgię, którą celebrowali, traktaty, które pisali i z których korzystali, *Pismo Święte*, na podstawie którego głosili kazania i nauczali – nie znajdujemy w tym Jezusa jako „śmiertelnego proroka”.

Jezus jest Panem!

Czy to prawda, że przez trzysta lat przed Soborem Nicejskim to, co nazywamy chrześcijaństwem, polegało po prostu na rozpowszechnianiu nauk „proroka Jezusa”?

Nie. Chrześcijaństwo nigdy na tym nie polegało.

Kiedy zagłębiamy się w Ewangelie i listy św. Pawła (a więc teksty datowane na 50-95 rok po Chr.), znajdujemy wszędzie ten sam sposób przedstawiania Jezusa – jako prawdziwego Boga i prawdziwego człowieka.

Z Ewangelii widać jasno, że Apostołowie nie rozumieli tożsamości Jezusa przed Jego zmartwychwstaniem. Przez cały ten czas byli zdezorientowani i, co jest naturalne, jako pobożni Żydzi potrafili myśleć o Jezusie tylko w kategoriach dla nich zrozumiałych: jako o proroku, nauczycielu, „synu Boga” i „Mesjaszu”. Według żydowskich pojęć żadne z tych dwu ostatnich określeń nie implikowało Boskiej natury, lecz oznaczało bycie wybranym przez Boga (w pewien niepowtarzalny sposób).

Jednakże, w świetle zmartwychwstania, Apostołowie ostatecznie zrozumieli to, o czym Jezus napomykał przez

cały czas, i co też w końcu powiedział wyraźnie: że On i Ojciec to jedno (patrz: J 14-17).

Kiedy czytamy *Nowy Testament*, znajdujemy tę prawdę wyrażaną na różne sposoby. W Ewangeliach jest ona obecna w stwierdzeniach o cudownym, dziewiczym poczęciu Jezusa przez Ducha Świętego (patrz: Mt 1-2 i Łk 1-2), we wszystkich opisach chrztu Jezusa w Jordanie oraz opisach Przemienienia, w odpuszczaniu przez Niego grzechów, co wywoływało oburzenie, bo „tylko Bóg może odpuszczać grzechy” (patrz: Łk 7, 36-50 i Mk 2, 1-12), w różnych rozproszonych mowach, w których Jezus utożsamia się z Ojcem w taki sposób, że spotkanie Jezusa oznacza spotkanie Boga w Jego łasce i miłości (patrz: Mt 10, 40 i J 14, 8-14).

Z kolei czytając *Dzieje Apostolskie* i listy św. Pawła, które odzwierciedlają nauczanie Apostołów i wczesnego Kościoła, nie można nie zauważyć przekonania autorów tych tekstów, że Jezus jest – nie żadnym tam „wielkim nauczycielem” czy „mądrym człowiekiem” – ale **Panem** (patrz np.: Kol 1 lub Flp 2; obydwie listy powstały dwie dekady po zmartwychwstaniu Jezusa).

(Chcąc sprecyzować – celem tego rozdziału nie jest „udowodnienie”, że Jezus jest Bogiem. Cel ten stanowi jedynie pokazanie, że pierwsi chrześcijanie czcili Go jako Pana, a nie jako „mądrego nauczyciela”, „śmiertelnego proroka”. Twoje dojście do prawdy o Jezusie, Drogi Czytelniku, nie zależy ani ode mnie, ani od Dana Browna. Idź na spotkanie z Jezusem samodzielnie, ale nie szukaj Go w jakichś powieściach, lecz w samych Ewangeliach.)

Zrozumienie, że Jezus jest prawdziwym Bogiem, przez następne stulecia stopniowo pogłębiało się. Pokaże to każdy, nawet szybki, przegląd dowolnego zbioru pism z tego okresu. Na przykład Tacjan, chrześcijański autor z II wieku, napisał: „Nie jesteście głupcami – o, Grecy! – ani nie puszc-

czamy w obieg wymyślonych bajek, kiedy oznajmiamy, że Bóg narodził się w postaci ludzkiej” (*Mowa do Greków*).

W ciągu tych stuleci, jak już wspominaliśmy, chrześcijańscy nauczyciele byli zmuszeni wyjaśniać prawdy wiary w konfrontacji z herezjami. Jedną z herezji, która stanowiła problem w II wieku, był tzw. „doketyzm”. Doketyści twierdzili, że Jezus był wyłącznie Bogiem i wykluczali Jego człowieczeństwo. Wierzyli, że Jego postać ludzka i cierpienia nie były rzeczywiste, że były to tylko wizje. Istnienie doketyzmu pokazuje, że Bóstwo Chrystusa było traktowane poważnie, także przed IV wiekiem.

Celem tych uwag nie jest analiza wszystkich znaczeń i implikacji Boskiej i ludzkiej natury Chrystusa, lecz jedynie zwrócenie uwagi, jak głęboko nieprawdziwy jest opis chrześcijańskiego myślenia o Jezusie, który przedstawił nam Brown.

Twierdzi on, że „pomysł” Boskości Chrystusa był autorstwa cesarza Konstantyna w IV wieku. To fałsz. Jest to zupełnie jasne w świetle świadectw *Nowego Testamentu* oraz pierwszych trzech wieków myśli chrześcijańskiej i chrześcijańskiego kultu. Jeśli interesuje nas, czego naprawdę pierwsi chrześcijanie uczyli i w co wierzyli, powinniśmy sięgnąć do źródeł, nie do popularnej powieści.

Co jest podstawowym źródłem? *Nowy Testament*.

Każdy, kto poważnie interesuje się tymi kwestiami, powinien go czytać, studiować i rozważać.

Pamiętajmy – Brown, gdy mówi o tożsamości Jezusa, ani razu nie cytuje żadnej z ksiąg *Nowego Testamentu*. Ani razu.

Ariusz i Sobór Nicejski

Sobór Nicejski musiał rzeczywiście zająć się kwestią Bóstwa Jezusa, ale z zupełnie innych powodów, niż to relacjonuje *Kod Leonarda da Vinci*.

Jak wiadomo, teologiczna prawda o dwóch naturach Chrystusa: Boskiej i ludzkiej, jest trudna do zrozumienia i wyrażenia, i rodzi wiele różnego rodzaju tak interesujących, jak i drażliwych pytań, na które nie znajdziemy wyraźnej i bezpośredniej odpowiedzi w *Piśmie Świętym*.

Nowy Testament rejestruje doświadczenia tych, którzy spotkali Jezusa: był On w pełni człowiekiem, w którym spotkali Boga; odpuszczał grzechy – tak jak Bóg; mówił tak, jakby miał władzę Boga; nie mógł być pokonany przez śmierć. Jak to wytłumaczyć? Jak to nazwać?

Zajęło to parę stuleci i, jak to często bywa, potrzeba ściślejszego i jaśniejszego zdefiniowania tożsamości Jezusa powstała z powodu sporu. Pojawiły się idee – na przykład doketyzm, głoszący, że Jezus w rzeczywistości nie był człowiekiem, lecz Bóg po prostu przyjął postać ludzką tak, jakby włożył kostium – które w sposób oczywisty były niezgodne ze świadectwem Apostołów. W rezultacie biskupi i teologowie musieli wyrazić na nowo świadectwo Apostołów w taki sposób, który prowadziłby do lepszego rozumienia tej kwestii oraz odpowiadał na związane z nią pytania.

Nie było to łatwe, gdyż rzecz dotyczyła problemu o najwyższym stopniu trudności. Ale pamiętajmy, co było kwestią zasadniczą dla tych, którzy bronili starożytnej wiedzy o Jezusie jako prawdziwym człowieku i prawdziwym Bogu. Tę kwestię stanowiło: Jak określić tożsamość Jezusa, by było to całkowicie wierne Jego pełnemu, złożonemu obrazowi, który poznajemy ze świadectw Apostołów? O Jezusie bowiem jest napisane w Ewangeliach, że odczuwał głód, strach i gniew. Jest także opisane, że działał, jakby miał władzę Boga, oraz że zmartwychwstał. Każdy sposób naszego mówienia o Jezusie musi być wierny całościowemu, tajemniczemu, porywającemu świadectwu

zapisanemu w Ewangeliach oraz obecnemu w piśmiennictwie wczesnego chrześcijaństwa.

Na początku IV wieku szczególnie atrakcyjny sposób rozwiązania tej zagadki proponował pewien kapłan z Aleksandrii (Egipt) – Ariusz.

Ariusz uczył, że Jezus nie był w pełni Bogiem. Był, oczywiście, najwyższym z Bożych stworzeń, lecz nie posiadał Bożej tożsamości i natury. Idee Ariusza bardzo szybko stały się popularne i to był ten spór – pomiędzy uczniami Ariusza i obrońcami chrześcijańskiej Tradycji – który Sobór Nicejski miał rozwiązać.

Sobór potwierdził na nowo Boską naturę Jezusa, używając pojęć filozoficznych, gdyż za pomocą tego właśnie języka Ariusz sformułował swoje stanowisko. W rezultacie otrzymaliśmy dobrze nam znany fragment *Credo Nicejskiego*: „Bóg z Boga, Światłość ze Światłości, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego, zrodzony, a nie stworzony, współistotny Ojcu”.

Jak pisze badacz *Pisma Świętego* Luke Timothy Johnson w swojej książce *The Creed*: „Biskupi na Soborze Nicejskim uważali się za tych, którzy korygują zniekształcenie, a nie odkrywają nową doktrynę. Musieli użyć języka filozoficznego, ponieważ był to język analizy i ponieważ *Pismo Święte* nie podaje sformułowań dostatecznie precyzyjnych, by wypowiedzieć to, co według nich powinno być wypowiedziane (...) uważali się oni tym samym nie za tych, którzy naginają doktrynę, lecz za tych, którzy zachowują pełny przekaz *Pisma Świętego*” (str. 131).

Owszem, dyskusja na Soborze została zakończona głosowaniem, o którym Brown z takim podnieceniem donosi. Prawda jest jednak taka, że i w tradycji żydowskiej, i chrześcijańskiej potwierdzenia tego, co jest wolą Bożą i Jego mądrością, szukano na różne sposoby. Zarówno w *Starym*,

jak i w *Nowym Testamencie* czytamy na przykład o przywódcach wybieranych wolą większości – ponieważ ci, którzy wybierali, wierzyli, że to właśnie Bóg zdecyduje o wyniku głosowania.

Głosowanie na Soborze, wbrew temu, co twierdzi Brown, nie było głosowaniem „pół na pół”. Tylko dwóch biskupów (z około trzystu) opowiedziało się za deprecjonującym Jezusa poglądem ariańskim.

Znowu błąd

A więc jeszcze raz przekonujemy się, że wszystko, co Brown mówi o historii chrześcijaństwa, jest błędne.

Brown mówi, że aż do IV wieku chrześcijaństwo było ruchem uformowanym wokół idei Jezusa jako „śmiertelnego proroka”. Proste odczytanie *Nowego Testamentu*, napisanego kilka dekad po zmartwychwstaniu Jezusa, pokazuje, że tak nie było. Chrześcijanie od początku czcili Jezusa jako Pana.

Brown mówi, że Sobór Nicejski wymyślił ideę Bóstwa Chrystusa. Fałsz. Sobór zachował integralność starożytnego przekazu o Jezusie – w tajemniczy sposób jednocześnie człowieka i Boga.

Teorie Browna to jeden ciąg błędów. Błąd za błędem. Następny błąd? Już za chwilę!

Warto przeczytać

L.T. Johnson, *The Creed: What Christians Believe and Why It Matters*, Doubleday 2003.

L.W. Hurtado, *Lord Jesus Christ: Devotion to Jesus in Earliest Christianity*, W.B. Eerdmans Publishing 2003.

K. Schatz, *Sobory powszechne. Punkty zwrotne w historii Kościoła*, Kraków 2002.

S. Bralewski, *Konstantyn Wielki*, Kraków 2001.

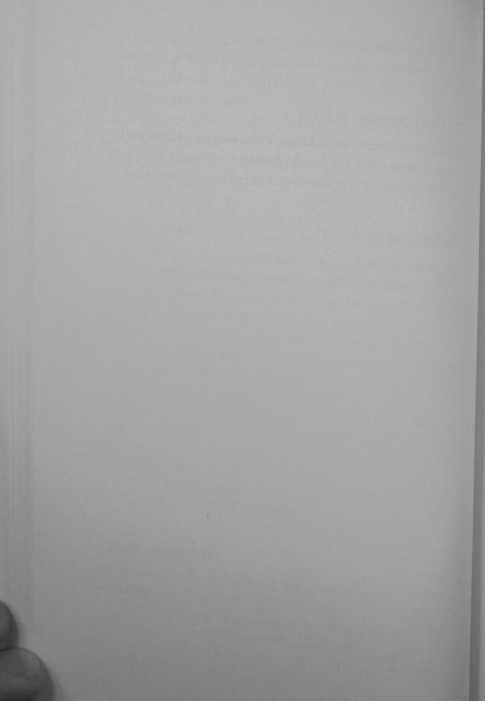
M. Starowieyski, *Sobory Kościoła niepodzielonego*, Tarnów 1994.

Pytania powtórzeniowe

1. Jakie fragmenty *Pisma Świętego* ujawniają, co pierwsi chrześcijanie sądzili o tożsamości Jezusa?
2. Jaki problem był przedmiotem obrad Soboru Nicejskiego?

Kwestie do dyskusji

1. Czego dotyczył „spór ariański”?
2. Co sądzisz o roli Konstantyna w sprawach religii?



OBALAŁ KRÓLÓW?

Zatrzymajmy się na chwilę i dokonajmy podsumowania.

Do tej pory, w naszej „podróży” przez wizję historii tak niefrasobliwie przedstawioną w *Kodzie Leonarda da Vinci*, odkryliśmy, że:

- Źródła tez Browna w najlepszym przypadku są nie związane z tematem, a w najgorszym – są w całości wytworem fantazji.
- Brown, konstruując swoją wersję wydarzeń, nie wykorzystuje ani jednego źródła pochodzącego z okresu początków chrześcijaństwa – *Nowego Testamentu*, pism biskupów i nauczycieli, dokumentów liturgicznych, ani żadnych innych*.
- Jego opisy formowania kanonu *Pisma Świętego*, Soboru Nicejskiego, rządów Konstantyna oraz rozumienia tożsamości Jezusa w początkach chrześcijaństwa są – wszystkie

* Warto zauważyć, że Brown nie zna takiej nauki jak patrologia (nazwa od łac. *pater* – ojciec). Jest to nauka z pogranicza teologii, historii i literatury, która zajmuje się pisarzami chrześcijańskimi pierwszych wieków – większość z nich to Ojcowie Kościoła. Są oni szczególnymi świadkami Tradycji, w której Kościół dochodził do samoświadomości i zrozumienia prawd objawionych w Chrystusie i przez Niego. Zob. B. Altaher, A. Stuibler, *Patrologia*, Warszawa 1990; Sz. Pieszczoł, *Patrologia*, Gniezno 1994; F. Drączkowski, *Patrologia*, Pelplin-Lublin 1998. (przyp. konsult.)

bez wyjątku – kompletnie fałszywe, bez związku z żadnym przeszłym lub teraźniejszym rozumieniem tych wydarzeń.

W tym momencie naprawdę wydaje się, że nie ma sensu kontynuować tej „zabawy”, nieprawdaż? Ale przed nami jeszcze wiele nieprawdziwych stwierdzeń i historycznych fałszów w tej książce, zatem – idźmy dalej!

Zajmiemy się teraz następującą kwestią: czy Jezus „obalał królów”?

Obalanie królów i inspirowanie milionów

Zbadajmy, jaka historia – według *Kodu Leonarda da Vinci*, kryje się rzekomo za posłannictwem Jezusa. Czego On nauczał? Co starał się osiągnąć?

Ktoś mógłby naturalnie pomyśleć, że pierwszym miejscem, gdzie powinniśmy zajrzeć, szukając odpowiedzi na to nieszczególnie zawile pytanie, będą Ewangelie z *Nowego Testamentu*. Przecież wszystkie one powstały parę dekad po śmierci Jezusa i chociaż każda podkreśla inne aspekty Jego posłannictwa i tożsamości, to jednak jest pomiędzy nimi zgodność co do istoty nauczania Jezusa oraz opisu Jego życia.

Ktoś mógłby tak pomyśleć – ale nie Brown.

Pisząc o Jezusie, Brown nie zwraca sobie głowy Ewangeliemi.

Teabing mówi Sophie, że Jezus rzeczywiście istniał (a jakże!) i: „Tak jak Mesjasz, o którego nadejściu mówili przepowiednie, Jezus wysadzał z tronów władców, inspirował i był natchnieniem dla milionów, tworzył fundamenty nowych filozofii. (...) Zrozumiałe więc, że dzieje jego życia zapisywały tysiące zwolenników w całym kraju” (str. 296).

Nie, to nieprawda.

Wiemy trochę o historii Palestyny i Imperium Rzymskiego w okresie, gdy żył Jezus. Nie istnieją historyczne zapisy o żadnym żydowskim przywódcy z Nazaretu, który by stracił jakiegoś władcę z tronu.

Możemy też określić liczbę ludności na obszarach, gdzie Jezus nauczał (Galilea, Samaria i Judea) – nie więcej niż pół miliona osób. Nie mówmy więc o „milionach”!

Dlaczego Teabing opowiada takie rzeczy? Na czym się opiera? Nie na historycznych zapisach – to pewne.

W rzeczywistości Ewangelie malują o wiele bardziej złożony obraz działalności publicznej Jezusa. Oczywiście, były czasem i wielkie tłumy, tak wielkie, że pewnego razu Jezus musiał odbić łodzią od brzegu jeziora, by je nauczać. Ale także bywał odrzucany, nie tylko przez przywódców religijnych, również przez ludzi ze swoich okolic (patrz: Mt 8, 34). Jego uczniowie słuchali Go i szli za Nim, lecz także sprzecali się ze sobą i uciekli, gdy sprawy przybrały zły obrót.

Brown opisuje Jezusa, jak gdyby był On kimś w rodzaju gwiazdy rocka, za którą szły tłumy fanów, nieustannie podekscytowanych jego obecnością.

To nie tak.

O czym On mówił?

W *Kodzie Leonarda da Vinci* Brown nigdy naprawdę nie ujawnia i bezpośrednio nie stwierdza, jakie było przesłanie Jezusa. Często robi aluzje, że Jezus był czczony jako nauczyciel i prorok, ale nie wychodzi poza te ogólne sformułowania.

Sugeruje jednak, że prawdziwe przesłanie Jezusa jest skoncentrowane na tym, o czym piszą pisma gnostyckie (omówione przez nas wcześniej), oraz na problemie związanym z „sakralnością żeńską”.

Jedną z tez *Kodu* stanowi to, że starożytna cześć dla „sakralności żeńskiej” została utracona i że Jezus chciał jakoś tę cześć przywrócić, szczególnie w swoim związku z Marią Magdaleną, i poprzez Marię Magdalenę chciał sprawić, żeby świat zawrócił na tę zgubioną drogę.

Skąd wzięły się te pomysły? Przypuszczalnie z lektury pism gnostyckich, które sugerują pierwotną androginiczność rodzaju ludzkiego i postulują powrót do tego stanu.

Przedstawiliśmy już ten problem. Pisma gnostycko-chrześcijańskie nie pochodzą od żadnych wczesnych świadectw o Jezusie. Wszystkie zawarte w nich nawiązania do znanych mów Jezusa oparte są na późniejszych dokumentach – w większości na Ewangeliach według św. Mateusza, Marka i Łukasza.

Drugi problem, jeśli powyższy kogoś nie przekonuje, to fakt, że Brown używa pism gnostyckich w wysoce selektywny sposób. Pisma gnostyckie są bardzo zróżnicowane, gdyż sam gnostycyzm był wewnątrznie zróżnicowany. I tak, prócz bardzo rzadkich śladów „sakralności żeńskiej”, znajdziemy w nich również bardzo często zawile, ezoteryczne sposoby myślenia z takimi elementami jak: iluminacje, hasła, dobre i złe moce, wiele poziomów nieba itd. Znajdziemy tam też antyjudajizm, a także mizoginizm – a to dla Browna nie było chyba zbyt wygodne.

Orędownicy wartości tekstów gnostyckich, rzekomo przechowujących utracone przesłanie Jezusa o „sakralności żeńskiej”, nie wspominają nigdy innych fragmentów tych pism, z których wynika coś wprost przeciwnego, jak to zauważył Philip Jenkins w swojej książce *The Hidden Gospels*: „Gnostycki Jezus przyszedł, by dać nam duchowe wyzwolenie i wciąż znajdujemy w tych tekstach różne wariacje na ten sam temat: że Zbawiciel przyszedł »zniszczyć dzieło kobiety«. Na przykład w *Dialogu Zbawiciela* znajdujemy taki typowy fragment: »Judasza powiedział: –

Kiedy i jak się modlić? Pan powiedział: – Módl się w takim miejscu, gdzie nie ma kobiety«. (...) To dziwaczne – potępiać chrześcijaństwo za celibat i nienawiść (rzekomą) do ciała i jednocześnie ignorować dokładnie te same elementy w gnostycyzmie” (str. 211-212).

„Szymon Piotr powiedział do nich: – Niech Maria opuści nas, bo kobiety nie są warte Życia. Jezus powiedział: – Ja sam pokieruję nią, aby uczynić z niej mężczyźną, tak ażeby ona także mogła stać się duchem żyjącym, podobnym do was, mężczyzn. Gdyż każda kobieta, która uczyni z siebie mężczyźną, wejdzie do Królestwa Niebios” – tak brzmi końcowy fragment najbardziej znanego pisma gnostyckiego, *Ewangelii Tomasza*. Tego fragmentu Brown nie zacytował.

A zatem – Jezus nie strącał władców z tronu, nie tworzył fundamentów nowych filozofii, nie opowiadał się za „sakralnością żeńską”. Jego słowa są nam znane z najwcześniejszych świadectw – istnieje w tym zakresie doskonała zgodność pomiędzy poszczególnymi księgami *Pisma Świętego* oraz treścią modlitw wspólnot wczesnochrześcijańskich.

W centrum nauczania Jezusa Chrystusa była idea Królestwa Bożego. Chrystus wyrażał to przesłanie w mowach, przypowieściach oraz w relacjach z innymi ludźmi. Wskazywał poprzez swoje słowa i czyny, że Bóg jest Miłością i Miłosierdziem dla wszystkich ludzi. Jego słowa i czyny objawiały, że ta Boża Miłość jest obecna w Nim. Gdy Jezus działał, Królestwo Boże zostało w Nim uobecnione. Jesteśmy częścią tego Królestwa, kiedy żyjemy w łączności z Jezusem i wzorujemy nasze życie na Jego życiu: wzorze miłości i ofiarnego apostołstwa, które nie liczy się z kosztami.

Nie jest to zresztą żadna tajemnica. Czytanie *Nowego Testamentu* ujawnia zdumiewająco spójny obraz przesła-

nia Jezusa Chrystusa, który wzywa nas do zakorzenionego w Bogu apostołstwa, do miłości, ofiary i radości.

Jezus „bardziej ludzki”

W *Kodzie Leonarda da Vinci* wielokrotnie pojawia się stwierdzenie, że tradycyjne chrześcijaństwo chciało ukryć przed światem pisma gnostyckie, gdyż prezentowały one bardziej „ludzki” obraz Jezusa – obraz, który dominował przez wieki, zanim Konstantyn wkroczył na dziejową scenę.

Zajmowaliśmy się tym problemem w ostatnim rozdziale, podkreślając, że w świetle pochodzących z I wieku pism *Nowego Testamentu* jest zupełnie jasne, że Jezus jest Panem, że ma naturę Boską, że jest Synem Bożym.

Popatrzmy jeszcze pod innym kątem na tezę Browna, mówiącą, iż oficjalna wersja historii Jezusa podkreśla Jego Boskość kosztem Jego człowieczeństwa, które z kolei jest rzekomo uwypuklane przez gnostycyzm. Brown mówi o tym kilka razy, nie podając żadnych dowodów na poparcie tej tezy. Czy mamy uwierzyć mu na słowo?

Lepiej nie. Każdy, kto poświęci choćby godzinę na porównanie którejs z kanonicznych Ewangelii z paroma gnostyckimi opisami, zauważy, jak fałszywe jest to stwierdzenie.

Czytając pisma gnostyckie, nie znajdujemy bowiem szczególnie „ludzkiego” Jezusa. Jest On w nich nauczycielem, lecz ujawnia niewiele cech typowo ludzkich. Dzieli się swoją mądrością, objawia tajemnice, wędruje w delikatnej „duchowej mgielce” i mówi, mówi, mówi...

Obraz ten jest spójny z gnostyckim systemem myślenia, który generalnie deprecjonuje wartość świata materialnego, a w szczególności – wartość ludzkiego ciała. Pisma gnostyckie ostentacyjnie ignorują chociażby pasję

i śmierć Jezusa. Można się o tym przekonać, zaglądając do najważniejszych gnostyckich tekstów, takich jak *Ewangelia Filipa*, *Ewangelia Tomasza* i – prawdopodobnie również gnostycka – *Ewangelia Marii*. Przeczytajmy te bardzo długie dialogi, a następnie otworzmy na przykład *Ewangelię według św. Mateusza*: „Wziąwszy z sobą Piotra i dwóch synów Zebedeusza, począł się smucić i odczuwać trwogę. Wtedy rzekł do nich: »Smutna jest dusza moja aż do śmierci; zostańcie tu i czuwajcie ze Mną!«” (Mt 26, 37-38).

Przeczytajmy dokładnie Ewangelie. Znajdziemy tam Jezusa, który je, pije, odczuwa strach, samotność i smutek, który cierpi i umiera.

Tylko ten, kto kompletnie nie ma pojęcia o Ewangeliach, może utrzymywać, że przedstawiają one „niehumaniczny” portret Jezusa. W rzeczywistości jest wprost przeciwnie. Chrześcijańscy nauczyciele tak zdecydowanie zwalczali gnostyckie i im podobne idee właśnie dlatego, że pomijały one człowieczeństwo Jezusa i nie były w związku z tym wierne najstarszym świadectwom zachowanym w *Nowym Testamencie*.

Ale być może osoby pokroju Browna mają coś zupełnie innego na myśli, kiedy mówią, że potrzebujemy Jezusa „bardziej ludzkiego” niż Jezus znany nam z Ewangelii. Być może po prostu myślą one o seksie.

Czy Jezus był żonaty?

W następnym rozdziale zajmiemy się wspaniałą, intrygującą postacią Marii Magdaleny (która jest, nawiasem mówiąc, czczona w Kościele jako święta, podczas gdy Brown twierdzi, że jest przez Kościół napiętnowana) oraz, w szczególności, świadectwami dotyczącymi jej rzekomego związku z Jezusem.

Najpierw jednak porozmawiajmy o kolejnej ważnej tezie *Kodu Leonarda da Vinci*, według której Jezus musiał być żonaty.

Powiedzmy jasno już na samym początku, że polemika z tą tezą nie wypływa z jakiegoś „strachu” czy „nienawiści” wobec seksualności, co bardzo często imputują nam rzecznicy tej tezy. Ich zdaniem nie jesteśmy w stanie pogodzić się z faktem małżeństwa Jezusa, gdyż mamy „dziwaczne” poglądy na temat seksu. Dopuszczenie myśli o małżeństwie Jezusa zniszczyłoby naszą wiarę, bo my po prostu nienawidzimy seksu.

Czy naprawdę?

Strach i inne emocje nie mają tu nic do rzeczy. Istotne jest jedynie to, co mówią nam teksty i wiarygodne świadectwa, kiedy analizujemy je uczciwie i obiektywnie.

W *Kodzie* Teabing objawia Sophie, że Jezus był żonaty, stwierdzając kategorycznie: „Tak mówi zapis historyczny” (str. 312).

Jaki zapis? Gdzie?

Jak przedstawialiśmy wcześniej, najlepsze „zapisy historyczne” o życiu Jezusa są w kanonicznych Ewangeliach, które powstały niewiele lat po Jego zmartwychwstaniu. Oczywiście, jak wszystkie stare dokumenty, i te mają swoje ograniczenia. Ale jeśli chcemy dowiedzieć się, co Jezus robił i jaki był, te teksty mają dla nas znaczenie podstawowe (teksty, do których – powtórzmy to jeszcze raz – Brown nigdy się nie odnosi).

I, uwaga! Teksty te nie wspominają o małżeństwie Jezusa! Wcale.

To milczenie Ewangelii na temat małżeństwa Jezusa niektórzy interpretują w następujący sposób (napisano nawet całą książkę opartą na tym rozumowaniu): bycie żonaty było naturalnym stanem dorosłego Żyda w tamtych czasach, więc fakt, iż Jezus był żonaty, stanowił oczywistość

niewartą wspomnienia. Brown idzie jeszcze dalej: „Gdyby Jezus nie był żonaty, przynajmniej jedna z Ewangelii biblijnych musiałaby o tym wspomnieć, uzyskalibyśmy jakieś wyjaśnienie tej nienaturalnej sytuacji” (str. 313).

Ten „dowód z milczenia” jest sprytny. I nierzetelny. John Meier z Katolickiego Uniwersytetu Ameryki przeanalizował go bardzo drobiazgowo w książce *A Marginal Jew*.

Zdaniem Meiera „dowód z milczenia” jest nie do przyjęcia, gdyż Ewangelie nie milczą o innych bliskich Jezusa. Często wspominają Jego rodziców i krewnych. Opisują Jego kontakty (a nawet konflikt) z mieszkańcami rodzinnego Nazaretu. Św. Łukasz podaje nawet imiona kobiet, które wraz z Apostołami szły za Nim i usługiwały Mu: Maria Magdalena, Joanna i Zuzanna (patrz: Łk 8, 2-3). Jeśli Ewangelie nie milczą o członkach rodziny Jezusa oraz kobietach, które szły za Nim, dlaczego miałyby milczeć o Jego żonie?

Następnie Meier odnosi się do tezy, że małżeństwo było w tamtych czasach normą absolutną dla Żyda, w szczególności dla „rabbiego”, i bezżenność Jezusa wymagałaby specjalnego wytłumaczenia w celu zachowania Jego wiarygodności – gdyby Jezus nie był żonaty, nie byłby traktowany poważnie. Tę tezę Meier obala na kilku poziomach. Po pierwsze, Jezus nie był „rabbim”. Był wprawdzie nazywany „rabbi” (co znaczy „nauczyciel”) przez swych uczniów, ale nic nie wskazuje na to, że był on „rabbim” w formalnym, instytucjonalnym sensie. Teza ta jest fałszywa także dlatego, że prezentuje uproszczony obraz judaizmu tamtych czasów. W rzeczywistości funkcjonowała co najmniej jedna żydowska sekta, której członkowie praktykowali celibat: esseńczycy, żyjący we wspólnocie w Qumran, w pobliżu Morza Martwego, którzy pozostawili po sobie tzw. „rękopisy znad Morza Martwego”. Ponadto istniała w ówczes-

sny m judaizmie duchowa tradycja wyjątkowych postaci, które poświęcały całe swoje życie Bożemu dziełu i Prawu, zachowując celibat. Na przykład prorok Jeremiasz był taką postacią. Żydowskie tradycje, rozwijające się w oparciu o teksty biblijne, przekazują obraz Mojżesza, który, odkąd spotkał Boga na Górze Synaj, żył w celibacie. Jan Chrzciciel, też postać historyczna, również nie był żonaty. Większość badaczy twierdzi, że to samo dotyczy św. Pawła.

Meier konkluduje: „Kiedy zestawimy te wszystkie tendencje, zauważymy, że w I wieku były takie wyróżniające się jednostki i grupy, które zachowywały celibat: niektórzy esseńscy i qumrańczycy, św. Jan Chrzciciel, św. Paweł, Epiktet, Apolinusz i różni wędrowni cynicy. Celibat zawsze był rzadkim wyborem, czasami bywał odbierany negatywnie w I wieku po Chr. Ale istniał jako zjawisko, jako realny wybór drogi życiowej” (str. 342).

Podsumowując zatem – w najbardziej wiarygodnych tekstach nie ma śladów informacji o tym, że Jezus był żonaty, a wiedza o kulturze żydowskiej I wieku po Chr. potwierdza, że mężczyzna poświęcający się w całości Bogu mógł nie być żonaty.

Prawda i jej konsekwencje

Twierdzenie *Kodu Leonarda da Vinci*, iż tradycyjne chrześcijaństwo nie docenia człowieczeństwa Chrystusa, jest oczywistą nieprawdą. Wszystkie Ewangelie przedstawiają nam Jezusa realnego, w pełni ludzkiego (innego niż eteryczna postać, którą znajdujemy w pismach gnostyckich). Wiele teologicznych walk i konfliktów pierwszych czterech wieków chrześcijaństwa odzwierciedla determinację chrześcijańskich nauczycieli, by być wiernym zapisom Ewangelii i zdecydowanie opowiadać się nie tylko za Boskością, ale także za pełnym człowieczeństwem Chrystusa.

Wiara w człowieczeństwo Chrystusa przejawiała się w chrześcijańskiej modlitwie oraz sztuce, także po roku 325, kiedy to cesarz Konstantyn miał rzekomo zepchnąć człowieczeństwo Chrystusa na margines wiary chrześcijańskiej. Modlitwa często odwoływała się do ludzkich uczuć Chrystusa oraz do Jego cierpień. Sztuka chrześcijańska przedstawiała małego Jezusa ssącego pierś Maryi, a także Jezusa skatowanego i zakrwawionego, a nawet Jego martwe ciało na rękach Matki.

Fakt, iż niektórzy są w stanie poważnie traktować historię z książki Browna, jest bardzo wymowny. Świadczy on o tym, że zbyt wielu ludzi – i chrześcijan, i niechrześcijan – zupełnie nie zna ewangelicznego obrazu Jezusa oraz bogatej, teologicznej i duchowej, refleksji Kościoła nad tajemnicą tożsamości Jezusa Chrystusa. Ich wyobrażenie Jezusa nie pochodzi z Ewangelii i chrześcijańskiej Tradycji – i tylko dlatego mogą być podatni na takie zniekształcenia prawdy, jakie znajdujemy w *Kodzie Leonarda da Vinci*.

Chrześcijaństwo nie ceni człowieczeństwa Jezusa? Prawda jest tak wyraźna, jak to, co wisi na ścianie w każdym kościele. Dwie belki. Człowiek. Nie duch. Nie mit. Człowiek.

Warto przeczytać

Ch. Schönborn, *Bóg zesłał Syna swego*, Poznań 2002.

L.T. Johnson, *The Real Jesus*, Harper San Francisco 1996.

Pytania powtórzeniowe

1. Dlaczego nieprawdziwe jest stwierdzenie, że pisma gnostyczne ukazują „bardziej ludzki” obraz Jezusa niż kanoniczne Ewangelie?
2. Co wskazuje na to, że Jezus nie był żonaty?

Kwestie do dyskusji

1. Z jakimi reakcjami spotykał się Jezus w czasie swojego posłannictwa? Jak sądzisz, dlaczego ludzie reagowali na Niego w taki sposób?
2. Dlaczego prawda o człowieczeństwie Jezusa Chrystusa jest tak ważna?

MARIA, ZWANA MAGDALENĄ

W *Kodzie Leonarda da Vinci* nie chodzi tylko o Jezusa. Chodzi także o Jego rzekomą żonę – Marię Magdalenę.

Zanim przedstawimy, co wiadomo o Marii Magdalenie (nie jest tego dużo), zróbmy szybki przegląd tego, co mówi o niej Brown.

Według Browna, Maria Magdalena była Żydówką z rodu Beniamina, jej mężem był Jezus, z którym miała dziecko. Intencją Jezusa było pozostawienie przewodzenia Kościołowi w jej rękach, a misja Kościoła miała polegać na ponownym wprowadzeniu „sakralności żeńskiej” do ludzkiego życia i świadomości. Po ukrzyżowaniu Jezusa Maria Magdalena uciekła wraz z córką Sarą do Prowansji, gdzie znalazła schronienie w gminie żydowskiej. Święty Graal to łono Marii Magdaleny. Jej szczątki spoczywają pod szklaną piramidą, stanowiącą wejście do Luwru. Zadaniem Zakonu Syjonu i templariuszy było przechowanie jej historii oraz relikwii. Zakon Syjonu czci ją „jako Wielką Boginię, Świętego Graala, różę i Boską Matkę” (str. 325).

Żydowski ród królewski... Żona Jezusa... Święty Graal... Wielka Bogini... To krótkie streszczenie.

Biorąc pod uwagę, że Maria Magdalena jest wspomniana zaledwie parę razy w Ewangeliach, zapytajmy: skąd mogłyby pochodzić te wszystkie informacje?

Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w powieści. Teabing, „wybitny uczonek”, prezentuje swój zbiór ksiąg, mówiąc: „Wielu badaczy tej epoki dokumentowało dzieje

Marii Magdaleny” (znów ten klimat naukowości...). Następnie cytuje *The Templar Revelation* oraz *Holy Blood, Holy Grail* – dwie prace z zakresu tandetnej pseudohistorii i teorii spiskowych, oraz *The Goddess in the Gospels* i *The Woman With the Alabaster Jar* autorstwa Margaret Starbird, która m.in. używa numerologii do dowodzenia, że Maria Magdalena była przez pierwszych chrześcijan czczona jako bogini: „Oni rozumieli »teologię liczb« świata hellenistycznego, liczb zakodowanych w *Nowym Testamencie*, które były oparte na starożytnym kanonie świętej geometrii wywodzącej się od pitagorejczyków przed wiekami. (...) To nie jest przypadek, że zapis imienia Marii Magdaleny generuje liczby, które dla wykształconej osoby tamtych czasów identyfikowały ją jako »Wielką Boginię w Ewangeliach«” (*Mary Magdalene: The Beloved*, w: www.magdalene.org/beloved-essay.htm).

Zatrzymajmy się w tym miejscu i pomyślmy przez moment. Ewangelie nie mogą być czytane powierzchownie – opisując wydarzenia, mogą jednocześnie przekazywać nam pewne prawdy. Czy zatem Ewangelie przekazują zakodowaną informację, iż pierwsi chrześcijanie postrzegali Marię Magdalenę jako boginię?

Jeśli rzeczywiście tak ją postrzegali, dlaczego po prostu nie ujawnili tego? Po co było zawracać sobie głowę całą tą historią o ukrzyżowaniu i zmartwychwstaniu Jezusa, kiedy można było po prostu czcić Magdalenę – jeżeli to było to, co pierwsi chrześcijanie chcieli robić? To nie jest tak, że groziły jakieś społeczne, kulturalne czy polityczne repre-

⁷ Są to charakterystyczne dla gnozy poglądy, że istnieje jakaś wiedza tajemna dostępna tylko dla wybranych. Gnoza została odrzucona również dlatego, że chrześcijaństwo jest dostępne dla wszystkich i nie posiada tajemnej wiedzy zarezerwowanej dla elit, natomiast Ewangelie kanoniczne mówią językiem dostępnym dla każdego. (przyj. konsult.)

sje tym, którzy chcieli czcić boginię. Z pewnością czciciele bogini nie byliby aresztowani, więzieni i zabijani, tak jak czciciele innej Osoby, na temat której *Kod Leonarda da Vinci* twierdzi, iż nie była czczona aż do IV wieku.

Zanim ulegniemy fascynacji tezami *Kodu*, pamiętajmy o sprawdzeniu źródeł tych tez*. W zakresie materiału o Marii Magdalenie oparto się na następujących źródłach:

- Maria Magdalena jako żona Jezusa i prawdziwy Święty Graal: *Holy Blood, Holy Grail* oraz *The Templar Revelation*;
- Maria Magdalena jako bogini, źródło „sakralności żeńskiej”: książki Margaret Starbird;
- Maria Magdalena jako desygnowana przywódczyni wczesnego chrześcijaństwa: różni współcześni autorzy pracujący nad tekstami gnostyckimi.

Zanim zagłębimy się w szczegóły, zatrzymajmy się na chwilę, zapomnijmy o spekulacjach i wróćmy do miejsca, gdzie po raz pierwszy usłyszeliśmy o Marii Magdalenie – do Ewangelii.

Kim była Maria Magdalena?

Nie ulega wątpliwości, że Maria Magdalena była postacią historyczną. Jest wymieniona z imienia w Ewangeliach i odgrywa niezwykle ważną rolę, wraz z innymi kobietami, jako świadek męki i zmartwychwstania Chrystusa.

„Magdalena” nie jest drugim imieniem Marii – ludzie w tych czasach nie mieli drugich imion. Byli identyfikowani poprzez odniesienie do ojca lub

* Tezy Browna nie posiadają żadnego potwierdzenia w literaturze patrystycznej. (przyp. konsult.)

miejsca pochodzenia. Większość badaczy uważa, że „Magdalena” – to znaczy „z Magdali”, miasta na zachodnim brzegu Jeziora Galilejskiego.

Tylko jeden z Ewangelistów wspomina o niej w kontekście innym niż ostatnie dni Jezusa. To św. Łukasz, który pisząc o głoszeniu Dobrej Nowiny przez Jezusa, dodaje: „A było z Nim Dwunastu oraz kilka kobiet, które uwolnił od złych duchów i od słabości: Maria, zwana Magdaleną, którą opuściło siedem złych duchów; Joanna, żona Chuzy, zarządcy u Heroda; Zuzanna i wiele innych, które im usługiwały ze swego mienia” (Łk 8, 2-3).

Wydaje się, że te kobiety z Galilei postanowiły związać swój los z Jezusem, udzielając praktycznej pomocy poprzez przygotowywanie posiłków oraz przypuszczalnie nawet przez wspieranie dzieła swoimi pieniędzmi.

Pozostałe, bardzo jednoznaczne relacje o Marii Magdalenie znajdują się w zakończeniach wszystkich czterech Ewangelii, gdzie jest ona opisana jako świadek ukrzyżowania i pogrzebu Jezusa. Następnie w wielkanocny poranek idzie do Jego grobu, aby Go namaścić. To właśnie tam, według wszystkich czterech Ewangelii, Maria Magdalena otrzymuje radosną wieść o zmartwychwstaniu, najpierw od anioła (patrz: Mt 28, 1-7; Mk 16, 1-8; Łk 24, 1-10), a potem od samego Jezusa (patrz: Mt 28, 9-10; J 20, 16-18), który nie tylko ukazuje się Marii Magdalenie i innym niewiastom, ale także każe im iść i oznajmić Apostołom radosną nowinę.

Maria Magdalena była więc rzeczywiście jedną z pierwszych osób głoszących Ewangelię. Wschodni Kościół nazwał ją „równą Apostołom”, gdyż to ona obwieściła, iż Chrystus zmartwychwstał.

Według opowieści Browna Maria Magdalena resztę życia spędziła w Prowansji, w południowej Francji. Legendy w tradycji katolickiej też umiejscawiają

św. Marię Magdaleną na tym terenie, doceniając ją za ewangelizowanie zamieszkujących tam ludów. Według tradycji Kościoła wschodniego św. Maria Magdalena wyjechała do Efezu i ewangelizowała na tamtym terenie, razem ze św. Janem.

Co się zatem stało?

Zauważmy, jakiego wątku nie znajdujemy (oprócz historyjki o „bogini”, oczywiście) w przywołanych fragmentach Ewangelii. Czy Maria Magdalena nie była przypadkiem nawróconą prostytutką?

W *Kodzie Leonarda da Vinci* jest to „wielka sprawa”. Brown często nawiązuje do tego powiązania Marii Magdaleny z prostytutką, żeby przedstawić je jako nikczemny spisek Kościoła, uknuty w celu przeciwdziałania jakimkolwiek podejrzeniom lub nawet zaprzeczenia historycznym świadectwom o przywództwie powierzonym Marii Magdalenie przez Jezusa.

Dwie kwestie wymagają tu omówienia. Po pierwsze, łączenie Marii Magdaleny z prostytutką rzeczywiście ewoluowało przez wieki w Kościele zachodnim (choć nie we wschodnim). Jednakże Brown i jego źródła mylą się, twierdząc, że przyczyną tego była zła wola, mizoginizm lub obawa przed władzą kobiet.

Ewangelie wspominają o kilku Mariach oraz o kilku innych znaczących kobietach, których imion nie podają. Czytelnicy *Pisma Świętego* często albo mylili te różne Marie, albo zastanawiali się, czy można połączyć Marię wspomnianą w jednym miejscu z Marią wspomnianą w innym miejscu.

Na przykład mamy dwie różne historie kobiet namaszczyjących stopy Chrystusa i wycierających je swoimi włosami. W *Ewangelii według św. Łukasza* Jezus spotyka „kobietę, która prowadziła w mieście życie grzeszne”, która skru-

szona, płacząc, namaszcza Jego stopy i wyciera je swoimi włosami (patrz: Łk 7, 36-50). Jej czyn wynika z wdzięczności za odpuszczenie jej grzechów (jakie, dodajmy, nie są wyraźnie wskazane). W *Ewangelii według św. Jana* Jezus w drodze do Jerozolimy zatrzymuje się w domu Łazarza (wskrzeszonego wcześniej przez Jezusa – patrz: J 11) oraz jego sióstr – Marty i Marii. Maria namaszcza Jego stopy i wyciera je swoimi włosami – i jest to uroczysta prefiguracja namaszczenia związanego z pogrzebem Jezusa, który odbędzie się kilka dni później (patrz: J 12, 1-8).

Historia o pokutującej kobiecie pojawia się u św. Łukasza zaledwie kilka zdań przed wymienieniem z imienia Marii Magdaleny, z czego niektórzy (w tym papież Grzegorz I w kazaniu w roku 591) wyciągnęli wniosek, że chodzi o jedną i tę samą osobę. Jednakże z drugiej strony, św. Łukasz zawsze podaje imię osoby, jeśli jest ono znane. Dlatego wielu uważa, że jeżeli pokutująca kobieta byłaby Marią Magdaleną, to św. Łukasz napisałby to wprost, zamiast podawać jej imię dopiero wtedy, kiedy wspomina ją po raz drugi.

Dalej, ponieważ Maria z Betanii namaszcza Jezusa przed Jego wejściem do Jerozolimy, niektóre tradycje wiążą ją z namaszczającą kobietą z *Ewangelii według św. Łukasza* (patrz: Łk 7), a następnie z Marią Magdaleną, która jest wymieniona również w *Ewangelii według św. Łukasza* (patrz: Łk 8), łącząc wszystkie trzy postacie w jedną.

Taki proces zaszedł w Kościele na Zachodzie, który, od wczesnego średniowiecza aż do reformy kalendarza liturgicznego w 1969 roku, obchodził święto św. Marii Magdaleny 22 lipca, wspominając w tym dniu wszystkie trzy wymienione kobiety.

Kościół na Wschodzie nie łączył tych postaci, zawsze traktował je jako odrębne osoby. Dzisiejszy Kościół prawo-

sławny oddaje wielką cześć św. Marii Magdalenie, nazywając ją „niosącą mirrę” (jedno z ziół używanych przy namaszczeniach) i „równą Apostołom”.

A teraz kwestia najważniejsza.

Brown powtarza wielokrotnie, że Maria Magdalena była marginalizowana i demonizowana przez tradycyjne chrześcijaństwo, które przedstawiało ją jako jawnogrzesznicę, prostytutkę itd. – po to, aby pomniejszyć jej znaczenie w Kościele.

Jak wiele tez Browna – i ta jest nie tylko fałszywa, ale po prostu bezsensowna.

Chrześcijaństwo czci Marię Magdalenę jako świętą.

Święta. Jest patronką wielu kościołów, ludzie modlą się w miejscach, gdzie są jej relikwie, za jej przyczyną dokonują się cuda.

Jak można nazywać to demonizowaniem?!

Jeśli zaś chodzi o kwestię prostytucji – nawet gdy łączono św. Marię Magdalenę z pokutującą kobietą z *Ewangelii według św. Łukasza*, jej grzech nie był podkreślany, ponieważ chrześcijaństwo nie polega na rozpamiętywaniu grzechu po jego odpuszczeniu. Nie, św. Maria Magdalena, jak to potwierdzają legendy o niej, była pamiętana ze względu na jej rolę jako świadka zmartwychwstania Chrystusa.

Do epoki renesansu wizerunki św. Marii Magdaleny były raczej stateczne. Dopiero w renesansie pojawia się rozchełstana, niekompletnie ubrana, z rozpuszczonymi włosami, pokutująca Magdalena. Artyści renesansowi interesowali się bardziej naturalistyczną prezentacją postaci i wyraźniejszym eksponowaniem ludzkich emocji za pomocą artystycznych środków wyrazu. Przedstawienia św. Marii Magdaleny miały mniej wspólnego z tym, co Kościół o niej mówił, a więcej z tymi artystycznymi zainteresowaniami.

„Chrześcijaństwo magdaleńskie”

Tego określenia używa Jane Schaberg na opisanie swojej wizji przyszłości, opartej na jej własnych hipotezach o przeszłości.

Schaberg i inni współcześni badacze feministyczni (m.in. Karen King z Harvard Divinity School), opierając się na tym, że w kilku pismach gnostyckich z końca II wieku rola Marii Magdaleny jest bardzo wyeksponowana, twierdzą, że pisma te ujawniają walkę wewnątrz chrześcijaństwa pomiędzy „partią Piotra” a „partią Marii Magdaleny”.

W *Kodzie Leonarda da Vinci* Teabing stwierdza jeszcze więcej: że także dzieła Leonarda da Vinci dostarczają klucza do tej prawdy – prawdy zawartej w „niezmienionych ewangeliach”.

Zróbmy szybki przegląd sprzeczności związanych z tą teorią.

Jeśli „partia Piotra” (czyli prawdopodobnie „zwycięzcy”, którzy – według Browna – „zawsze piszą historię”) rzeczywiście była tak silna, żeby wyeliminować Marię Magdalенę i pomniejszyć jej znaczenie, to dlaczego w opisach zmartwychwstania Jezusa pozostawiono jej tak ogromnie ważną rolę – osoby, która jako pierwsza dowiaduje się, że Jezus żyje?

Brown stwierdził wcześniej, że, zanim Konstantyn popelnił swój „zły uczynek” w roku 325, chrześcijanie wierzyli w Jezusa jako „śmiertelnika”. Jeśli tak było, to czym zatem była „partia Piotra”? Przypuszczalnie jej członkowie byli „zwycięzcami” – ale to oznacza, że musieli oni wierzyć w Bóstwo Jezusa, bo ten właśnie pogląd „zwyciężył”. Czy to znaczy, że Bóstwo Jezusa nie zostało wymyślone w 325 roku? Więc gdzie byli przez cały ten czas „zwycięzcy”?

Porzućmy tę czystą przyjemność wyszukiwania poważnych błędów logicznych u Browna i wróćmy do świadectw historycznych.

Czy są jakieś historyczne poszlaki, wskazujące na walkę o władzę w Kościele pomiędzy „partią ortodoksyjną” a „partią Magdaleny”, która zakończyła się przegraną tej ostatniej?

Nie. To czysta spekulacja, oparta na motywowanym ideologicznie odczytaniu tekstów gnostyckich, powstałych co najmniej sto lat po ukrzyżowaniu Jezusa. Kilka gnostycko-chrześcijańskich sekt, które rozwinęły się pod koniec II wieku, przyznawało Marii Magdalenie pierwszorzędną rolę. Fragmenty pism gnostyckich, które sugerują intymny związek pomiędzy Jezusem a Marią Magdaleną, nie mają żadnych elementów pochodzących z I wieku i służą jedynie pewnej teorii teologicznej – zazwyczaj temu, by wspierać ich wersję chrześcijaństwa i pomniejszać rolę św. Piotra i Apostołów.

Ponadto, gdyby pisarze chrześcijańscy tego okresu wiedzieli coś o tym, gdyby było to powodem do niepokoju, prawdopodobnie napisaliby o tym problemie wprost, gdyż zdarzało się im wypowiadać negatywnie o pewnych sektach gnostyckich, w których kobiety odgrywały rolę przywódczyni lub prorokiń. Jednakże ani jeden znany nam tekst nie odnosi się do żadnej grupy uznającej prymat Magdaleny kosztem Piotra. Co więcej, w pismach tego okresu, w którym to Kościół rzekomo miał demonizować św. Marię Magdalenę, czytamy o niej wyłącznie słowa pochwalne.

Hipolit, piszący w Rzymie na przełomie II i III wieku, przedstawia św. Marię Magdalenę jako Nową Ewę, której wierność kontrastuje z grzechem Ewy z Raju (obraz często stosowany także wobec Maryi). Nazywa św. Marię Magdalenę „Apostołem Apostołów”. Św. Ambroży i św. Augustyn, obydwoj piszący około sto lat później, także mówią o św. Marii Magdalenie jako o Nowej Ewie.

Znowu zatem nic, co Brown sugeruje, nie ma sensu. W czasie, gdy rzekomo „partia Magdaleny” walczy o duszę

Kościola, Ojcowie tegoż Kościoła wypisują najwyższe pochwały dla św. Marii Magdaleny i za skarb uważają Ewangelie, które ukazują jej pierwszorzędną rolę jako świadka Chrystusowego zmartwychwstania.

W *Piśmie Świętym* nie ma nic takiego o św. Marii Magdalenie, co potwierdzałoby tezy Browna. Zaprzecza im także sposób, w jaki św. Maria Magdalena była zawsze traktowana w Kościele.

Ciągle odkrywamy, że prawda jest znacznie bardziej interesująca i inspirująca niż fantazje *Kodu Leonarda da Vinci*.

Warto przeczytać

M.A. Getty-Sullivan, *Women in the New Testament*, Liturgical Press 2001.

Kobieta w starożytności chrześcijańskiej, pod red. W. Myszor, Warszawa 1999.

J. Eisenberg, *Kobieta w czasach Biblii*, Gdańsk 1996.

P. Evdokimov, *Kobieta i zbawienie świata*, Warszawa 1991.

Pytania powtórzeniowe

1. Kim była św. Maria Magdalena według Ewangelii?
2. Jak św. Maria Magdalena została zapamiętana w historii Kościoła?

Kwestie do dyskusji

1. Czego dowiadujemy się z ewangelicznych opisów zmartwychwstania Jezusa o znaczeniu św. Marii Magdaleny?
2. Jaka rolę odgrywały kobiety w posłannictwie Jezusa? Co ich świadectwo mówi nam o chrześcijańskim apostołstwie?

EPOKA WIELKIEJ BOGINI?

Dla wielu czytelników jednym z najbardziej interesujących elementów *Kodu Leonarda da Vinci* jest idea „sakralności żeńskiej”.

Intrygujące może wydawać się to, co Brown objawia o przeszłości: że był rzekomo taki czas, dawno, dawno temu, kiedy to ludzkość świadoma była potrzeby równoważenia w życiu elementów męskich i żeńskich, i czciła zarówno męskie, jak i żeńskie bóstwa i duchy. Jeszcze bardziej intrygująca jest hipoteza, o której Langdon mówi Sophie, że niegdyś światem rządził „pogański matriarchat”.

Niektórym mogą wydać się interesujące tezy Browna o chrześcijaństwie i kobietach: że Jezus nauczał o łączeniu żeńskich i męskich aspektów rzeczywistości i że kobiety przewodziły wczesnemu chrześcijaństwu aż do momentu, gdy „Konstantynowi i jego męskim następcom udało się nawrócić świat z pogańskiego matriarchatu na chrześcijański patriarchat dzięki kampanii propagandowej, która demonizowała sakralność kobiecą i usuwała na zawsze Wielką Boginię ze współczesnych religii” (str. 160-161).

Łatwo zauważyć atrakcyjność takiej wizji przeszłości, szczególnie dla tych kobiet, które uważają, że chrześcijaństwo je dyskryminuje.

Ale jaki może być pożytek z wizji, jeśli nie jest ona prawdziwą?

„Sakralność żeńska”

Brown, pisząc o „sakralności żeńskiej” (a pisze o niej nieustannie), nawiązuje do paru idei.

Przede wszystkim, odwołuje się do szkoły myślenia powstałej w XIX wieku, według której starożytny kult bogiń rozwinął się z kultu Wielkiej Bogini Matki, związanego w dużym stopniu z wielką czcią, jaką ludzie w dawnych czasach mieli dla tajemnicy narodzin. Do podparcia tej teorii wykorzystano archeologiczne znaleziska figurek ciężarnych kobiet i inne przedmioty kultury materialnej. Teoria ta rozwinęła się pod koniec XX wieku.

Oto jedno z jej twierdzeń w relacji pisarki Charlotte Allen: „Ta zgodna z naturą, szanująca kobiety, pokojowa i egalitarna kultura panowała na obszarze dzisiejszej Europy Zachodniej przez tysiące lat (...) aż do momentu, gdy fala indoeuropejskich najeźdźców rozlała się po całym regionie, wprowadzając bogów wojny, broń przeznaczoną do zabijania ludzi i patriarchalną cywilizację” (*The Scholar and the Goddess*, „The Atlantic”, styczeń 2001).

W ostatnich latach jednak: ideologia napędzająca takie pomysły, niejednoznaczny charakter znalezisk archeologicznych, odkrycia starej broni oraz znalezienie jasnych dowodów na tradycyjny męsko-kobięcy podział pracy – wszystko to podważyło mit o Wielkiej Bogini Matce. Nie ma podstaw, by twierdzić, że taka epoka kiedykolwiek istniała.

Jednym z najbardziej „oryginalnych” stwierdzeń Browna jest to, iż nawet starożytny judaizm cenił „sakralność żeńską” jako odrębny aspekt boskości, o czym ma świadczyć rzekoma praktyka rytualnego seksu w Świątyni Jerozolimskiej.

Doprawdy trudno powiedzieć, skąd wzięły się te pomysły Browna. Nie istnieją żadne dowody na poparcie tej tezy. Co więcej, jest ona całkowicie sprzeczna z tym, co znaj-

dujemy w *Starym Testamencie* na temat Świątyni: istniał wymóg ścisłej czystości rytualnej, obejmującej powstrzymanie się od aktywności seksualnej przez pewien czas przed udziałem w aktach kultu Bożego.

Badacz *Pisma Świętego* ks. Gerald O'Collins SI dokładnie analizuje tę hipotezę: „À propos judaizmu, Brown popełnia kilka zdumiewających błędów dotyczących rytualnego seksu i Boga. Badacze *Starego Testamentu* zgadzają się, iż czasem wykorzystywano prostytutkę do zdobywania pieniędzy na świątynię. Nie istnieją jednak dowody sakralnej albo rytualnej prostytutki, i żaden Izraelita nie przychodził do świątyni po to, by poprzez stosunek seksualny z kapłanką doświadczyć boskości i osiągnąć duchowe spełnienie (str. 392). Na tej samej stronie Brown wyjaśnia: »Dawni wyznawcy judaizmu wierzyli, że Święte Świętych w Świątyni Salomona zamieszkuje nie tylko Bóg, ale również Jego żeńska połowa Szechina«. Słowo »Szechina«, pochodzące nie z *Biblii*, ale z późniejszych pism rabinistycznych, odnosi się do bliskości Boga wobec Jego ludu, a nie do jakiejś »żeńskej połowy« Boga” („The America”, 15 grudnia 2003).

O'Collins analizuje także twierdzenie Browna (z tego samego akapitu) na temat tetragramu YHWH: „Jest także kompletnym nonsensem nazywać »faktem« stwierdzenie, że »tetragram żydowski – YHWH – święte imię Boga – oznacza Jehowę, który stanowi androgyniczne połączenie męskiego Yah i przedhebrajskiej Ewy, Hawah«. YHWH jest zapisane w języku hebrajskim, bez samogłosek. Żydzi nie wymawiali świętego imienia, ale w rzeczywistości prawidłowa wymowa tych czterech spółgłosek to »Jahwe« (»Yahweh«). W XVI wieku kilku pisarzy chrześcijańskich wprowadziło słowo »Jehowa« (»Yehowah«), z błędnie użytymi samogłoskami. Jehowa – to zatem sztuczne imię powstałe mniej niż pięćset lat temu, a nie starożytne androgyniczne imię, od którego pochodzi YHWH” (tamże).

Starożytne cywilizacje czciły czasem bóstwa żeńskie, tak jak dzisiejsze systemy animistyczne lub politeistyczne (np. hinduizm). Większość żeńskich bóstw to małżonki bóstw męskich. Starożytne systemy odzwierciedlają pewnego rodzaju świadomość męskich i żeńskich elementów rzeczywistości, lecz nie ujawniają one jakiegokolwiek szczególnej świadomości lub czci dla „sakralności żeńskiej” w rozumieniu Browna.

Głębsze spojrzenie na dwa tysiące lat chrześcijaństwa, zarówno w jego tradycji wschodniej, jak i zachodniej, nie ujawnia duchowości przesiąkniętej patriarchalizmem kosztem feminizmu. Ale o tym później.

Na koniec zauważmy, że czytelnicy *Kodu* mogliby się spodziewać, że społeczności czczące bóstwa żeńskie były bardzo egalitarne. Jednak w rzeczywistości nie znajdujemy śladów egalitaryzmu ani w starożytnych kulturach, które czciły bóstwa męskie, ani w tych, które czciły bóstwa żeńskie, a nawet w tych, w których praktykowano rytualny seks (nie była to tak rozpowszechniona praktyka, jak twierdzi Brown) – a które według Browna miały łączyć pierwiastki męskie i żeńskie w ekstatycznej, dającej życie jedności.

Heretycy i czarownice

Po okresie panowania epoki matriarchalnej cześć dla kobiecości musiała – zgodnie z logiką Browna – „zejść do podziemia”.

Korzystając z różnych współczesnych opracowań, Brown twierdzi, że we wczesnym chrześcijaństwie istniał pewien odłam „kobięcy”. W „scenariuszu” Browna – chodzi właśnie o to, co opisują te pisma gnostyckie, które stawiają Marię Magdalenę na czele i w centrum ruchu wokół Jezusa.

Jednak pisma te były bardzo dalekie od głównego nurtu chrześcijaństwa. Wykorzystywały postać Chrystusa i niektóre z Jego nauk jedynie jako środki do wyrażania gnostyckich idei. Nie mają one bezpośrednich związków z wczesnymi świadectwami chrześcijańskimi, ani – z drugiej strony – nie są one elementami jakiejś starożytnej tradycji związanej z „sakralnością żeńską”.

Według *Kodu* natomiast – są. Po tym, jak ortodoksyjne chrześcijaństwo „wygrało” w Nicei – opowiada Brown – kontynuowało ono niszczenie pogańskich (pogaństwo jest równoznaczne u Browna z kultem „sakralności żeńskiej”) wierzeń albo wchłaniało je. Ci, którzy się temu opierali, byli fizycznie niszczeni. W szczególności dotyczy to czarownic. Według Browna w wyniku „naporu” chrześcijaństwa zostało zabitych pięć milionów kobiet...

Tak, dobrze słyszymy. Brown twierdzi, że wrogość wobec kobiet, wzbierająca przez wieki, w końcu wydostała się na powierzchnię: Kościół katolicki wymordował pięć milionów kobiet w czasie trzystu lat „polowań na czarownice”. (Brown nie wskazuje okresu, ale możemy przypuścić, że ma na myśli lata 1500-1800, zazwyczaj uważane za okres bardziej intensywnych „polowań na czarownice” w Europie.)

Być może zetknęliśmy się już wcześniej z tą teorią – można ją często spotkać w internetowych dyskusjach o rzekomych zbrodniach Kościoła katolickiego. Jak większość teorii Browna – i ta jest fałszywa.

Charlotte Allen w artykule opublikowanym w miesięczniku „The Atlantic” podsumowuje najnowsze badania tej kwestii: większość badaczy szacuje, iż w tym okresie było „około 40 tysięcy egzekucji związanych z czarami”, niektóre dokonane przez katolików, inne – przez protestantów, większość – przez władze państwowe. Nawiasem

mówiąc, około 20% udokumentowanych oskarżeń o czary zostało sformułowanych przeciwko mężczyznom.

„Najbardziej wyczerpującym współczesnym studium o historii czarów jest książka *Witches and Neighbors* (1996) autorstwa Robina Briggsa, historyka z Oxfordu. Briggs przestudiował dokumenty z europejskich procesów przeciwko czarownicom i stwierdził, że większość z nich odbyła się w relatywnie krótkim okresie: od 1550 do 1630 roku, przede wszystkim na obszarze dzisiejszej Francji, Szwajcarii i Niemiec – a więc na terenach już nękanym przez religijne i polityczne wrzenie, którego źródłem była reformacja. Kobiety oskarżane o czary to nie były niezależnie myślące jednostki o poważnej pozycji społecznej – w większości były to kobiety z nizin społecznych. Ich oskarżycielami byli zwykli mieszkańcy (często inne kobiety), a nie żadne władze, duchowne czy świeckie. W rzeczywistości władze generalnie nie lubiły procesów o czary i uniewinniły większość oskarżonych. Briggs odkrył także, że żadna z oskarżonych czarownic nie została skazana z powodu praktykowania religii pogańskiej” (Ch. Allen, *The Scholar and the Goddess*, „The Atlantic”, styczeń 2001).

Oczywiście, jest rzeczą tragiczną i niesprawiedliwą śmierć choćby jednej osoby straconej przez kogokolwiek z powodu oskarżeń o czary. Jednak musimy pamiętać, że większość społeczeństw wprowadzała poważne ograniczenia dotyczące tego, co ich członkowie mogą mówić publicznie i do czego mogą namawiać innych. Ograniczenia te były obwarowane surowymi karami dla tych, którzy je łamali. Tego nie wymyślił ani Kościół katolicki, ani protestancki. Naturalnie, nie zmniejsza to winy tych chrześcijan, którzy w tym okresie nie okazali się autentycznymi świadkami Ewangelii.

Czy Malleus Maleficarum (Młot na czarownice) jest autentycznym dokumentem? Tak, lecz nie był to żaden powszechnie stosowany podręcznik dla prowadzących procesy przeciw czarownicom. Książka została napisana przez dominikanina Heinricha Kremera, który twierdził, że oparł ją na swoim własnym doświadczeniu ponad stu procesów. W rzeczywistości zapisy wskazują, że osądził on tylko 8 kobiet, i został wydalony przez biskupa sąsiedniego miasta, w którym próbował prowadzić podobną działalność.

Czy o Kimś nie zapominamy?

W *Kodzie Brown* stwierdza z naciskiem, że przez ponad dwa tysiące lat chrześcijaństwo było zajadle patriarchalne, antykobiece i zdeterminowane, by wyplenić wszelkie przejawy „sakralności żeńskiej”, gdziekolwiek by się one pojawiły.

Najwidoczniej Brown nie słyszał nigdy o Maryi, Matce Jezusa.

Jeśli chcesz zrozumieć, Drogi Czytelniku, jak dalekie są tezy tej powieści od prawdy o chrześcijaństwie, zastanów się przez chwilę nad tym oczywistym pominięciem. I zapytaj: dlaczego Brown pominął rolę Maryi w chrześcijaństwie?

Odpowiedź może być tylko jedna: ponieważ zauważenie ogromnego znaczenia Maryi dla chrześcijaństwa kompletnie podważyłoby twierdzenie Browna, iż chrześcijaństwo żyje w śmiertelnym strachu przed „sakralnością żeńską”. Dlatego Brown uznał, że lepiej udawać, iż tego problemu nie ma.

Ale ten problem jest.

Jak pisze znawca tematyki maryjnej Jaroslav Pelikan: „(...) gdybyśmy mogli usłyszeć głosy tych milczących milionów średniowiecznych kobiet, uzyskalibyśmy wyraźne

potwierdzenie tego, co nieliczne z nich zapisały i co przetrwało do dzisiejszych czasów: że to właśnie Maryja jest tą postacią, z którą wiele z nich się identyfikowało – z Jej pokorą, ale także z Jej odpowiedzią na wielkie wyzwanie oraz z Jej zwycięstwem. (...) Gdyż z powodu tej roli, którą odgrywała w historii ostatnich 2 tysiący lat, Najświętsza Maryja Panna stała się tematem większej liczby analiz i dyskusji o tym, co to znaczy być kobietą, niż jakakolwiek inna kobieta w historii Zachodu” (*Mary Through the Centuries*, str. 219).

Kiedy człowiek próbuje zrozumieć Boga i zbliżyć się do Niego, ta sama natura ludzka, która umożliwia mu bliskość z Bogiem (bo człowiek jest stworzony na Jego obraz i podobieństwo), jest także źródłem jego ograniczeń. Nasz język może wyrazić tylko tyle, nasze myślenie o Bogu może dojść tylko tak daleko, jak na to pozwalają nasze ograniczenia jako istoty czasowo-przestrzennej, w szczególnie sposób doświadczającej świata.

Ale w tym samym świecie, posługując się stworzonymi przez siebie osobami i rzeczami, Bóg daje nam łaskę spotkania Go i umożliwia nam Jego poznanie. We wszystkich epokach chrześcijanie doświadczają, że życie Maryi objawia nam Boga, Jego wierność, współczucie i pełnię miłości do nas – poprzez Jej rolę w naszym zbawieniu, poprzez Jej „tak”, *fiat* powiedziane Bogu.

Postać Maryi, Matki Jezusa, jest jednoznaczna, choć wieloaspektowa. Niektórzy chrześcijanie zastanawiają się nawet, czy cześć dla Maryi nie osiąga rozmiarów, które powinny być zarezerwowane jedynie dla samego Boga. To wszystko stoi naturalnie w sprzeczności z teząmi Browna o chrześcijańskiej Tradycji.

Niezależnie od tego, co myślimy o Maryi i oddawanej Jej czci, rzeczą dla każdego z nas oczywistą jest to, że Maryja

odgrywa kluczową, niemal centralną rolę w chrześcijańskiej myśli, modlitwie i kulcie – od początków Kościoła aż do dzisiaj.

Brown zatem znów mówi nieprawdę. Chrześcijaństwo nie przestało zauważać „sakralności żeńskiej” – w osobie Maryi Kościół *de facto* wyniósł ją na wyżyny. (Niektórzy powiedzieliby może, że nawet za bardzo.)

Ignorowanie tego faktu – to ignorowanie prawdy. Jeśli dla kogoś prawda cokolwiek znaczy, musi to zauważyć.

Warto przeczytać

A. Jankowski, *Bliżej Bogarodzicy. Studia z mariologii biblijnej*, Kraków 2004.

F. Courth, P. Neuner, *Mariologia. Eklezjologia*, Kraków 1999.

P. Davis, *Goddess Unmasked: The Rise of Neopagan Feminist Spirituality*, Spence Publishers 1998.

J. Pelikan, *Mary Through the Ages: Her Place in the History of Culture*, Yale University Press 1996.

Pytania powtórzeniowe

1. Jakie znamy dowody przeciwko teorii mówiącej, że świat żył niegdyś w epoce matriarchalnej, czcząc „sakralność żeńską” jako boską moc?
2. Jaką rolę odgrywa Maryja w duchowości chrześcijańskiej?

Kwestie do dyskusji

1. Jaką rolę odgrywa Maryja w Twojej duchowości?

CHRZEŚCIJAŃSTWO – PLAGIATEM POGAŃSTWA?

Być może słyszeliśmy już kiedyś tę historię: Chrześcijańskie motywy umierającego i zmartwychwstającego Boga, inicjacji poprzez wodę oraz sakralnego posiłku nie były oryginalne. Podobne mity i praktyki można znaleźć w tym okresie w różnych pogańskich wierzeniach w basenie Morza Śródziemnego. Można zatem stwierdzić, że chrześcijanie po prostu „zaczerpnęli” swojego zmartwychwstałego Syna Bożego, chrzest i Eucharystię ze swojego otoczenia, aby przekształcić to, co początkowo nie było niczym więcej niż filozoficznym systemem, w ekscytującą i atrakcyjną nową religię.

I to właśnie prowadziło ich na rzymskie areny, gdzie byli rzucańi lwom na pożarcie...

To ciekawe – ci, którzy opowiadają tę bajkę, zawsze zapominają o tym zakończeniu.

Brown prezentuje pewną odmianę tej bajki w *Kodzie Leonarda da Vinci*. Jest krótka, niechlujna i nie troszczy się o dowody, lecz może zaniepokoić, jeśli wierzy się jej na słowo. Oczywiście, lepiej tego nie robić.

Dowody

W *Kodzie Leonarda da Vinci* „uczony” Teabing twierdzi, że sakramenty, elementy rytuału i symbole chrześcijaństwa są efektem „transmogryfikacji” – adaptowania przez

chrześcijan symboli i rytuałów pogańskich dla potrzeb nowej religii.

Teabing mówi, że obrazy bogini Izydy trzymającej na rękach syna Horusa były archetypem obrazów Maryi z Dzieciątkiem Jezus. Jeśli chodzi o obrazy matki i dziecka w sztuce, to istnieje oczywiście kilka typowych układów postaci, popularnych we wszystkich ikonografiach. Jednak Teabing wmawia nam związek przyczynowo-skutkowy: cześć dla Maryi jest imitacją kultu bogini Izydy. Nie. W świecie rzymskim Izyda była kojarzona z rozwiązłością seksualną, a „cudownego” poczęcia swojego syna Horusa, do którego nawiązuje Teabing, Izyda dokonała albo przez rekonstrukcję części ciała swojego zmarłego męża, albo dzięki magii. Wizerunki Maryi i Izydy nie mają ze sobą zbyt wiele wspólnego (patrz: M.P. Carroll, *The Cult of the Virgin Mary*, Princeton University Press 1986, str. 8-9).

Teabing twierdzi, że ołtarz został przez chrześcijaństwo zapożyczony wprost z pogańskich religii. Prawda jest taka, że wszystkie starożytne religie używały ołtarzy, zrobionych z odłamków skalnych, drewna lub kamienia. Chrześcijanie rozumieli, że Eucharystia jest uobecnieniem Ofiary Chrystusa. Odniesienia do ołtarzy można znaleźć w *Nowym Testamencie*.

Mitra jest nakryciem głowy biskupów w Kościele zachodnim. Teabing mówi, że zostało to zapożyczone z tajemnych religii pogańskich. Jednakże mitra nie była używana aż do XI wieku. Na Wschodzie, czyli na obszarze najbliższym tajemnym kultom pogańskim, biskupi nosili korony.

Aureole były stosowane w sztuce starożytnej dla oznaczenia bogów lub cesarza. W sztuce chrześcijańskiej aureole pojawiły się w III i IV wieku, najpierw tylko wokół postaci Chrystusa, jako symbol kojarzący Chrystusa ze światłem. Aureola to pewien symbol, tak jak na przykład korona, nie związany w sposób szczególny z jakimś systemem religijnym.

Pierwszy problem w teorii Browna stanowi łączenie wszystkich tych elementów (obrazy „egipskich kręgów słońca” jako pierwowzór chrześcijańskiej aureoli, Izolda z Horusem jako pierwowzór Maryi z Dzieciątkiem Jezus, akt „spożycia Ciała Bożego” w komunii) – jak zwykle – z cesarzem Konstantynem.

W rzeczywistości Konstantyn nie ma z tym nic wspólnego. Tak, to prawda, stosunek Konstantyna do chrześcijaństwa i pogaństwa w czasie jego rządów był, niektórzy powiedzieliby, niekonsekwentny, inni powiedzieliby – adaptacyjny. Na przykład Bóg Słońca wciąż występował na rzymskich monetach, nawet w okresie, gdy Konstantyn finansował budowę chrześcijańskich kościołów. Jednak z pewnością nie jest prawdą to, co pisze Brown: że cesarz celowo stopił w jedno chrześcijaństwo i pogaństwo, „włączając symbole, daty i rytuały pogańskie do budującej się tradycji chrześcijaństwa” (str. 197).

Pozostaje jednak pytanie – nawet jeśli Konstantyn tego nie zrobił, to na wielu stronach internetowych i w paru książkach próbuje się wmówić, że istnieje podejrzany związek pomiędzy praktykami chrześcijaństwa i „tajemnych religii”, które rozkwitły na starożytnym Bliskim Wschodzie w pierwszych czterech wiekach naszej ery.

Czy zatem chrześcijaństwo było plagiatem?

Tajemnice o tajemnicach

Te „tajemne religie”, z których chrześcijaństwo rzekomo ukradło praktyki i wierzenia, wyznawały grupy, które rozwinęły się niemal na całym starożytnym Bliskim Wschodzie, czczące różnych bogów, lecz posiadające pewne cechy wspólne.

Różniły się one od oficjalnie wspieranego kultu bogów, który wymagał publicznego wypełniania obowiązków religijnych dla zapewnienia sobie przychylności bogów. Większość badaczy uważa, iż te tajemne pogańskie kultury rozkwitły dlatego, że oficjalnie usankcjonowana religia nie potrafiła odpowiedzieć na żadne autentyczne duchowe potrzeby ludzi tamtej epoki. Owe pogańskie religie podkreślały osobiste zbawienie, oświecenie i życie wieczne poprzez zjednoczenie się z bóstwem w tajemnych aktach kultu. Chociaż zróżnicowane, w większości religie te miały tendencje do koncentrowania się na jednoczeniu z bóstwem przez odgrywanie na nowo mitycznych wydarzeń, często obejmujących śmierć i zmartwychwstanie bóstwa.

Zanim przejdziemy do szczegółów – jeszcze kilka uwag natury ogólnej.

Po pierwsze, kiedy myślimy o korzeniach chrześcijaństwa, to w pierwszej kolejności musimy zawsze brać pod uwagę wpływ nie starożytnych pogańskich religii i rytów, lecz raczej judaizmu.

Jezus był Żydem i ogromna większość Jego uczniów przez pierwsze dwadzieścia lat po Jego śmierci i zmartwychwstaniu to byli Żydzi. Fundamenty wiary chrześcijańskiej i chrześcijańskich praktyk powstały w tym właśnie okresie, jak to potwierdzają listy św. Pawła napisane pomiędzy 50 a 60 rokiem.

Jest to dla Ciebie odkrycie – próby łączenia chrześcijańskiego chrztu z rytualnymi obmyciami pogańskich

religii? Pamiętaj, że rytualne oczyszczenie w wodzie, także dla nawróconych, było utrwalonym elementem żydowskiej tradycji w czasach Jezusa. Pamiętaj, co robił św. Jan Chrzciciel, który na pewno nie był uczniem Mitry. On chrzczył wodą.

A Eucharystia? Teabing nazywa ją „spożywaniem Ciała Bożego” i twierdzi, że była to chrześcijańska kopia pogańskich praktyk. A więc kompletnie ignoruje fakt, że Ostatnia Wieczerza była posiłkiem święta Paschy (według św. Mateusza, Marka i Łukasza; św. Jan umiejscawia ją na dzień przed Paschą). Pierwsi chrześcijanie w celebrowaniu Eucharystii odgrywali na nowo Ostatnią Wieczerzę – akt opisywany przez pojęcia żydowskiej tradycji, takie jak: nowe przymierze i ofiara.

Drugą rzeczą, o której należy pamiętać, jest fakt, że większość śladów praktyk „tajemnych religii” pogańskich pochodzi z III-V wieku po Chr. Co więcej, praktycznie nie ma żadnych archeologicznych dowodów wskazujących na istnienie tych kultów w Palestynie w I wieku po Chr., a więc w miejscu i czasie powstania chrześcijaństwa.

Jeśli zatem spotykamy się z takimi stwierdzeniami, pytajmy zawsze o dowody. Chrześcijaństwo zapożyczyło Eucharystię z pogańskich posiłków wspólnotowych? Naprawdę? Jakie są dowody na taki związek? Możemy uznać za dowód teksty lub znaleziska archeologiczne, które pasują do miejsca i czasu.

Ponad wszelką wątpliwość – nikt nie przedstawi nam takich dowodów.

Bóg Słońca

Brown włączył cesarza Konstantyna w proces „transmogryfikacji”, twierdząc, że – aby „sakralizować” Jezusa – Konstantyn po prostu wziął ustalony kult Słońca i przero-

bił go na kult Syna Bożego. W ten sposób zamiast „śmiertelnego nauczyciela” otrzymaliśmy Syna Bożego.

Jak już dowodziliśmy, cesarz Konstantyn nie wymyślił idei Bóstwa Jezusa. Chrześcijanie opisywali i czcili Jezusa jako Pana już od I wieku. Prawdą jest natomiast, że w czasie rządów Konstantyna przez długi czas oddawano oficjalnie cześć zarówno bogowi Słońca, jak i Synowi Bożemu.

Kult boga Słońca wywyższył cesarz Aurelian, który w roku 274 obwołał to bóstwo „Panem Imperium Rzymskiego”, budując jednocześnie ogromną świątynię w Rzymie na jego cześć (patrz: W.H.C. Frend, *The Rise of Christianity*, str. 440). Kilkadziesiąt lat później kult boga Słońca był kontynuowany, a chrześcijanie – prześladowani, czasem bardzo brutalnie. Sytuacja ta uległa zmianie, gdy Konstantyn w roku 312 umocnił swoją władzę w zachodniej części Imperium.

Oprócz boga Słońca Brown dorzuca do swojej mitologicznej mieszanki jeszcze jedno pogańskie bóstwo – Mitrę. Teabing mówi, że pogański bóg Mitra był pierwowzorem dla chrześcijańskich wierzeń o Jezusie; twierdzi, że był określany podobnymi tytułami oraz że „zmarł i został pochowany w skalnym grobowcu, a potem zmartwychwstał po trzech dniach” (str. 297).

Mitra był bogiem o wielu postaciach. Jego kult w ciągu wieków po śmierci Chrystusa był głównie „tajemną religią”, popularną wśród mężczyzn, zwłaszcza w sferach wojskowych. Znaczącej tej problematyki nic nie wiadomo o tym, by Mitrze przypisywano tytuły: „Syna Bożego” lub „Światłości Świata”, co twierdzi Brown w swojej książce (str. 297). W mitologii Mitry nie istnieje nawet ślad motywu śmierci i zmartwychwstania. Wydaje się, że Brown zapożyczył to od pewnego XIX-wiecznego historyka, którego bezpodstawne i nieudokumentowane twierdzenia zostały zdyskredytowane. Ten sam historyk jest autorem opowiadki o Krysynie, wspomnianej przez Browna

- o tym, że po urodzeniu złożono mu dary ze złota, kadzidła i mirry. Opowiastki tej nie zna natomiast w ogóle hinduistyczna mitologia (patrz: Miesel i Olsen, *Cracking the Anti-Catholic Code*).

Konstantyn, jak wszyscy ludzie jego epoki, wierzył, że swoje sukcesy może przypisać działaniom boskich mocy. Nie jest jasne, czy do końca odróżniał boga Słońca od Jedynego Boga chrześcijaństwa. Według historyka W.H.C. Frenda, Konstantyn w czasie, gdy utrwalał swoją władzę i stabilizował Imperium, „nie porzucił przywiązania do boga Słońca, nawet jeśli uważał się za sługę Boga chrześcijańskiego” (*The Rise of Christianity*, str. 484).

Wydaje się, że ostatecznego wyboru dokonał dopiero u schyłku życia. Został ochrzczony przed śmiercią w roku 337 (nie pod przymusem, wbrew temu, co twierdzi Brown). Przyjmowanie chrztu dopiero przed śmiercią było dość częste w tamtym okresie, szczególnie w przypadku osób, których pozycja społeczna wiązała się z niebezpieczeństwem grzechu, na przykład związanym z pozbawianiem innych ludzi życia. W tym okresie grzech po chrzcie był traktowany bardzo surowo, a pokuta za najcięższe grzechy bliska była wyłączeniu z chrześcijańskiej wspólnoty.

Brown powtarza dwie co najmniej zaskakujące tezy odnoszące się do chrześcijaństwa i boga Słońca.

Po pierwsze, twierdzi on, że wybranie daty 25 grudnia jako święta Bożego Narodzenia było sposobem zastąpienia pogańskiej celebracji narodzin boga Słońca, święta ustanowionego przez cesarza Aureliana.

Nie istnieje dowód na taki związek, zwłaszcza że nie ma zapisów historycznych o tym, że Konstantyn opowiedział się za świętowaniem narodzenia Jezusa 25 grudnia. Po raz pierwszy słyszymy o świętowaniu Bożego Narodzenia w Konstantynopolu w roku 379 lub 380; stamtąd to święto stopniowo rozprzestrzeniało się w Kościele wschodnim.

Na dodatek istnieje silny argument za zupełnie innym mechanizmem wyznaczenia daty Bożego Narodzenia. M.in. historyk William Tighe uważa, że wyznaczenie 25 grudnia jako daty Bożego Narodzenia mogło być związane z innymi czynnikami, organicznie związanymi z chrześcijaństwem. Mianowicie w II wieku chrześcijanie na Zachodzie ustalili 25 marca jako datę ukrzyżowania Jezusa. Zgodnie ze starą żydowską tradycją wielcy prorocy umierali w tym samym dniu roku, w którym się urodzili lub zostali poczęci. Idąc za tą tradycją, chrześcijański Zachód przyjął 25 marca za dzień poczęcia Jezusa przez Ducha Świętego w łonie Maryi (w Kościele świętowany jako Zwiastowanie). Doliczając dziewięć miesięcy, otrzymujemy 25 grudnia jako datę narodzenia Jezusa.

Nie jest to hipoteza udowodniona. Natomiast jest pewne, że nie ma podstaw, by ze świętem ustanowionym przez cesarza Aureliana łączyć Boże Narodzenie, które po raz pierwszy było świętowane całe stulecie po tym, jak chrześcijaństwo zostało ustanowione oficjalną religią Imperium Rzymskiego.

A co z tą niedzielą?

Druga teza powtórzona przez Browna głosi, że Konstantyn przesunął chrześcijański dzień święty z soboty na Dzień Słońca, czyli niedzielę.

To wyjątkowo bezsensowne stwierdzenie. Mamy mnóstwo dowodów, że niedziela była dniem świętym dla chrześcijan już od I wieku.

Nie nazywali oni oczywiście tego dnia „Dniem Słońca”. W *Apokalipsie św. Jana* (napisanej pod koniec I wieku) dzień ten nazwany jest „dniem Pańskim” (Ap 1, 10), poza tym nazywa się go „Pierwszym Dniem” lub nawet „Ósmym

Dniem” (to ostatnie określenie oznacza ósmy dzień Bożego dzieła stworzenia).

Do połowy II wieku chrześcijańska tradycja zbierania się na Eucharystię w niedzielę, wspomniana już w *Dziejach Apostolskich* (Dz 20, 7), była utrwalona. Justyn Męczennik, piszący w Rzymie w tym okresie, opisuje niedzielne zgromadzenia eucharystyczne bardzo szczegółowo (patrz: *Pierwsza Apologia*).

A zatem Konstantyn nie przesunął chrześcijańskiego dnia świętego z soboty na niedzielę. Chrześcijanie oddawali szczególną cześć Bogu w niedzielę przez stulecia przed Konstantynem.

Tym, co Konstantyn rzeczywiście zrobił, było ustanowienie siedmiodniowego tygodnia (znanego i używanego w niektórych miejscach) jako podstawy kalendarza, a następnie ustanowienie niedzieli jako dnia odpoczynku w całym Imperium. Wcześniej kalendarz rzymski był podzielony jedynie na miesiące, a w każdym miesiącu były trzy stałe dni: kalendy, nony i idy.

Aż do tego momentu Żydzi oraz niektórzy poganie czcący Saturna traktowali sobotę jako dzień odpoczynku. Konstantyn w oficjalnym rzymskim kalendarzu nadał ten status niedzieli. Zadowolilo to chrześcijan, choć to zadowolenie zostało przypuszczalnie umniejszone przez nazwę, jaką Konstantyn nadał temu dniu: *dies Solis*.

Jak więc widzimy, cesarz Konstantyn, skupiony na unifikacji Imperium i utrwalaniu swej władzy, był nieco chwiejny w sprawach religii. Wykorzystywał symbole, kiedy było mu to potrzebne, przynajmniej w pierwszej dekadzie swoich rządów – później zwrócił się w stronę chrześcijaństwa.

Zatem Brown znów mówi nieprawdę: Konstantyn nie ustanowił 25 grudnia świętem Bożego Narodzenia i nie przesunął dnia świętego chrześcijan z soboty na niedzielę.

Głębszy sens symboli

Brown chciałby, żebyśmy uwierzyli, że integralność religijnych systemów, wierzeń i symboli jest możliwa tylko wtedy, gdy są one zupełnie niezależne od innych religijnych systemów, wierzeń i symboli, od początku do końca.

To nie jest tak. Są pewne aspekty ludzkiego życia wspólne dla wszystkich kultur, które wydają się mieć wewnętrzną zdolność do przekazywania znaczeń odnoszących się do transcendencji.

W narodzinach i śmierci – stajemy przed tajemnicą i cudem istnienia, i nadzieją na coś więcej.

W wodzie i oleju – znajdujemy odniesienie do czystości fizycznej, która kojarzy się z potrzebą naszego najgłębszego oczyszczenia.

We wspólnym spożywaniu posiłków – stykamy się z ideą pokarmu oraz wspólnoty.

Nie możemy wyrazić wszystkiego słowami, musimy wspomagać wyobraźnię symbolami, by lepiej rozumieć prawdy, które są nam objawiane.

Fakt, że inne religie mają ceremonie obmycia i rytualne posiłki, nie ma najmniejszego znaczenia dla prawdziwości i ważności chrześcijańskich praktyk. Nie ma podstaw, by twierdzić, jak to robi Brown, że fundamenty chrześcijańskiej myśli i praktyki zostały zapożyczone z pogańskich religii. Korzenie chrześcijaństwa tkwią w judaizmie. Ponieważ chrześcijaństwo urzeczywistnia się poprzez ludzi żyjących w określonym kontekście kulturowym i społecznym, wyrażanie wiary musi być dynamiczne, dostosowane do zmieniających się okoliczności, wykorzystujące język i zbiór symboli, które ułatwią i pogłębiają nasze rozumienie prawd wiary.

W taki właśnie sposób poznajemy rzeczywistość stworzoną przez Boga.

Warto przeczytać

J. Daniélou, *Teologia judeochrześcijańska. Historia doktryn chrześcijańskich przed Soborem Nicejskim*, Kraków 2002.

D.E. Duncan, *Calendar: Humanity's Epic Struggle to Determine a True and Accurate Year*, Avon Books 1998.

H. Pietras, *Dzień święty*, Kraków 1992.

W.H.C. Frend, *The Rise of Christianity*, Fortress Press 1984.

H. Chadwick, *The Early Church*, Penguin Books 1967.

Pytania powtórzeniowe

1. Czym były „tajemne religie” pogańskie?
2. Co historyczne źródła mówią nam o związku pomiędzy chrześcijańskimi symbolami i prawdami wiary a pogańskimi symbolami i wierzeniami opisanymi w *Kodzie Leonarda da Vinci*?

Kwestie do dyskusji

1. W jaki sposób można pogłębić swoją wiedzę o żydowskich korzeniach chrześcijaństwa?
2. Jakie analogie do chrześcijańskich celebracji chrztu oraz Wieczery Pańskiej można znaleźć w *Starym Testamencie*?

MOŻE CHOCIAŻ O DA VINCI NAPISAŁ PRAWDĘ?

Niestety, nie.

Żeby przekonać się, jaką wartość ma to, co Brown pisze o Leonardzie da Vinci, wystarczy rozważyć jeden prosty przykład: kwestię nazwiska artysty.

W całej książce (z tytułem włącznie*) Brown i jego powieściowi „eksperci” nazywają artystę: „Da Vinci”.

Problem w tym, że on się tak nie nazywał.

Nigdzie, w książkach historycznych czy edukacyjnych, nie określa się go w taki sposób.

Zawsze mówi się o artyście: „Leonardo”.

Urodził się on w 1452 jako syn niejakiego Piera da Vinci, w mieście Vinci, niedaleko Florencji. „Da Vinci” znaczy po prostu – „z Vinci”.

Ktoś, kto uważa się za eksperta w dziedzinie sztuki i kto jednocześnie konsekwentnie określa artystę jako „Da Vinci”, jest tak wiarygodny, jak ekspert od religii, który Jezusa nazywałby „Z Nazaretu”.

Weźmy pierwszą z brzegu książkę o sztuce. Znajdziemy „Leonarda”, a nie „Da Vinci”. Pójdźmy do biblioteki i poszukajmy biografii artysty. Nie znajdziemy jej pod „D” ani „V”. Znajdziemy ją pod „L”, gdyż nazywał się on „Leonardo”.

Zgódźmy się co do jednego: autor, który nawet nie potrafi poprawnie nazwać głównej postaci historycznej

* Polski wydawca poprawił ten „błąd” Browna w tytule. (przyp. red.)

w swojej książce, nie zasługuje na zaufanie, gdy chce uczyć nas historii. Może nas zabawiać na różne sposoby, lecz nie pozwólmy, żeby w jakimkolwiek stopniu kształtował nasze poglądy na temat historii, religii czy choćby sztuki.

Kim był Leonardo?

Leonardo jest jedną z najbardziej intrygujących postaci w historii Zachodu. Jego twórczość mogłaby stanowić pożywkę dla wielu powieści. Ale prawdziwy Leonardo w niewielkim stopniu przypomina „Da Vinci” z powieści Browna.

Brown twierdzi, że Leonardo był „jawnym homoseksualistą i czcicielem Natury”, miał na swoim koncie „niezliczone (...) zapierające dech w piersiach dzieła sztuki o tematyce chrześcijańskiej”, „przyjmował setki lukratywnych zleceń papieskiego Rzymu” (str. 64), a jednocześnie był „w nieustannym konflikcie z Kościołem” (str. 65).

Tak naprawdę jedyny nieustanny „konflikt z Kościołem” zawdzięczał Leonardo swojej skłonności do pozostawiania zamówionych dzieł nie ukończonymi. Ale to zupełnie inna historia.

Z powieści wyłania się następujący portret Leonarda: arogancki geniusz, odrzucający chrześcijaństwo, wykorzystujący swoje dzieła do przekazywania antychrześcijańskich treści, a także (oczywiście!) Wielki Mistrz Zakonu Syjonu – organizacji, która, jak zobaczymy w następnym rozdziale, prawdopodobnie nigdy nie istniała w postaci opisanej przez Browna.

Taki portret w niczym nie przypomina prawdziwego Leonarda.

Zajmijmy się najpierw materiałem „brukowym”. Czy Leonardo był rzeczywiście „jawnym homoseksualistą”? Nie ma dowodów to potwierdzających. W 1476 roku

Leonardo, wraz z trzema innymi osobami, został oskarżony o stosunki homoseksualne ze znaną we Florencji męską prostytutką. Oskarżenie jednak zostało oddalone. Jest to jedyny historyczny zapis dotyczący hipotetycznej aktywności homoseksualnej (a nawet: jakiegokolwiek aktywności seksualnej) Leonarda. W żadnym tekście źródłowym dotyczącym jego biografii, nawet w jego własnych notatnikach, nie ma najmniejszej wzmianki sugerującej jego orientację homoseksualną. Jak napisał Sherwin B. Nuland w biografii Leonarda, „ten epizod jest jedyną uwagą o aktywności seksualnej Leonarda, a ci, którzy byli najbardziej skrupulatnymi badaczami jego życia, twierdzą, że oskarżenie o homoseksualizm było fałszywe” (str. 31). Natomiast historyk sztuki Bruce Boucher napisał w „New York Times” w 2003 roku: „(...) mimo że w młodości został oskarżony o homoseksualizm, argumenty za taką jego orientacją seksualną pozostają nieprzekonujące”.

Teraz odnieśmy się do twierdzenia o „niezliczonych, zapierających dech w piersiach, dziełach sztuki o tematyce chrześcijańskiej” autorstwa Leonarda. Prawdopodobnie Brown jest w posiadaniu jakichś tajnych informacji na ten temat, gdyż według współczesnej wiedzy Leonardo pozostawił nie więcej niż dwa tuziny prac tego typu (wliczając w to także szkice). I nie było też żadnych „setek zleceń z Watykanu” – Leonardo pracował pod patronatem jednego tylko papieża (Leona X) pod koniec swojego życia, zajmując się w tym czasie eksperymentami naukowymi.

Analiza ilościowa dorobku Leonarda pokazuje, że to nie obrazy się w nim wyróżniają, lecz setki rysunków, projektów inżynierskich i architektonicznych, naukowych eksperymentów i wynalazków. Przedstawianie Leonarda jako osobnika oddającego się malowaniu obrazów o tematyce pozornie chrześcijańskiej, z ukrytymi, zakodowanymi, antychrześcijańskimi przesłaniami – jest niedorzeczno-

ścią. Choćby z tego powodu, że obrazy o tematyce chrześcijańskiej nie wydają się być głównym obszarem pracy Leonarda.

Leonardo heretykiem?

W powieści Leonardo przedstawiony jest jako ktoś w rodzaju ideologicznego radykała, który z satysfakcją kpi z całej chrześcijańskiej Tradycji, poprzez przewrotne używanie symboli w swoich dziełach. Zanim postanowimy przyjąć tę teorię, przypomnijmy sobie klimat epoki, w której żył Leonardo.

Leonardo da Vinci żył we Włoszech, oraz krótko we Francji, w czasach renesansu. Słowo „renesans” znaczy „odrodzenie” i odnosi się nie do odrodzenia kultury jako takiej, jak wielu błędnie sądzi, lecz do odrodzenia kultury klasycznej: filozofii, piśmiennictwa, sztuki, a ogólnie – wrażliwości na dorobek starożytnej Grecji i Rzymu. Jednym z następstw krucjat – nieustannych wojen pomiędzy chrześcijańskim Zachodem a agresywnym muzułmańskim Wschodem – było ponowne odkrycie tego dorobku. Uczestnicy krucjat przywieźli z wypraw manuskrypty i dzieła sztuki zdobyte na Wschodzie.

Leonardo żył w okresie niezwykle intensywnej aktywności intelektualnej, skoncentrowanej na zjawiskach przyrodniczych oraz życiu ludzi w świecie tych zjawisk, aktywności wzbogaconej spotkaniem ze starożytnymi kulturami Grecji i Rzymu. Nie należy jednak sądzić, że ta aktywność stała w opozycji do Kościoła katolickiego. Kościół wciąż stanowił główne centrum aktywności intelektualnej, wszystkie uniwersytety były sponsorowane przez Kościół, wielu badaczy kultury antycznej to były osoby duchowne – księża, zakonnicy, a nawet biskupi.

Leonardo wychował się i żył w kulturze, której ramy wciąż były katolickie, lecz z jego zapisków wynika jasno, że nie wyznawał tradycyjnej wiary (choć pisał o Bogu, a nawet o Chrystusie). Serge Bramly w swojej biografii Leonarda pt. *Leonardo: The Artist and the Man* pisze: „Wierzył w Boga – choć prawdopodobnie nie był to bardzo chrześcijański Bóg (...). Odkrywał tego Boga w cudownym pięknie światła, w harmonijnym ruchu planet, w misternym systemie mięśni i nerwów ludzkiego ciała, w niewyrażalnym arcydziele ludzkiej duszy. (...) Leonardo nie był prawdopodobnie praktykującym katolikiem albo raczej był pobożny na swój własny sposób. Jego sztuka jest w swej istocie religijna. Nawet w pracach o tematyce niereligijnej Leonardo oddawał cześć cudownemu dziełu stworzonemu przez Wszechmogącego, które starał się zrozumieć i odzwierciedlić” (str. 281).

Leonardo był także antyklerykałem. Krytykował bogactwo niektórych duchownych, wyzyskiwanie naiwnych i bojaźliwych wiernych, a także sprzedawanie odpustów oraz nadmiernie rozbudowany kult świętych.

Żyjąc w czasach bezpośrednio poprzedzających reformację (Luter przybił swoje 95 Tez na drzwiach kościoła w Wittenberdze w 1517 roku – dwa lata przed śmiercią Leonarda), Leonardo miał poglądy typowe dla tego okresu, zwłaszcza w kołach intelektualnych, a nawet wśród bardziej spostrzegawczych pobożnych katolików, zmartwionych nieprawidłowościami widocznymi w życiu kierujących Kościołem.

Leonardo – niezwykle, wyjątkowy geniusz, nie był zatem w rzeczywistości tak radykalny w swoich poglądach, jak przedstawia to Brown. Pod pewnymi względami jego poglądy były typowe, a on sam był typowym przedstawicielem swojej epoki: otwarty na poznawanie świata wszel-

kimi dostępnymi metodami, opierający swoje badania na danych przyrodniczych oraz na doświadczeniu, wierzący w Boga (wydaje się, że także wierzący w Chrystusa), lecz głęboko antyklerykalny i pełen pogardy dla wykroczeń w sferze życia religijnego i sprawowania kultu.

Zajmijmy się teraz jego obrazami.

Madonna wśród skał

W *Kodzie Leonarda da Vinci* dwie wersje *Madonny wśród skał* autorstwa Leonarda, jedna z Luvru i druga z londyńskiej Galerii Narodowej, mają rzekomo ukazywać nam prawdę o Leonardzie – jako artyście, który postanowił przez swoje dzieła przekazać antychrześcijańskie przesłania.

Tymczasem wystarczy obejrzyć te obrazy, by przekonać się, jak nieprawdziwa jest teoria Browna.

Leonardo otrzymał zlecenie namalowania tego obrazu jako części ołtarza do kaplicy Konfraterni Niepokalanego Poczęcia. Brown twierdzi, że „Konfraternia” była grupą sióstr zakonnych.

Nie. „Konfraternia” (szczególnie w tym czasie) była grupą mężczyzn, zrzeszonych dla jakiegoś celu; w tym przypadku cel stanowiło upowszechnianie wiary w Niepokalane Poczęcie Najświętszej Maryi Panny, to znaczy w to, że Bóg zachował Maryję od grzechu pierworodnego, od początku Jej życia.

Konfraternia przekazała szczegółowe wytyczne, czego potrzebuje: Maryja w centrum obrazu, ubrana na złoto, niebiesko i zielono, dwaj prorocy po obu Jej stronach, Bóg Ojciec nad Jej głową oraz Dzieciątko Jezus na złotym podwyższeniu (patrz: S. Bramly, *Leonardo...*, str. 184). (Zauważmy, że Brown na str. 177 zupełnie inaczej przedstawia szczegóły tego kontraktu.) Zamówienie zostało

złożone w 1483 roku. Następnie przez ponad 25 lat Leonardo i Konfraternia toczyli spór o ten obraz.

Spór ten nie miał nic wspólnego z rzeczami, o których wspomina Brown, choć jest jasne, że posługujący się bardziej naturalistycznym stylem Leonardo nie zamierzał uwzględniać tych elementów obrazu, które chciała Konfraternia. I chociaż nie wszystkie szczegóły konfliktu zostały wyjaśnione, to wiele wskazuje na to, że poszło po prostu o pieniądze – Leonardo wciąż prosił o więcej pieniędzy, a Konfraternia nie chciała ich dać.

A dlaczego dwie wersje obrazu? Prawdopodobnie oryginał został komuś podarowany; zdaniem niektórych historyków rządzący Mediolanem Ludovico Sforza podarował obraz albo francuskiemu królowi, albo niemieckiemu cesarzowi – i ta właśnie wersja jest w Luwrze. Druga wersja obrazu, która znajduje się w Londynie, została zabrana bezpośrednio z kaplicy – dziś już nie istniejącej.

Spójrzmy na to, co według Browna jest tak szokujące w tych obrazach. Twierdzi on, że Jan Chrzciciel błogosławi na nich Jezusa – a więc odwrotnie, niż moglibyśmy się spodziewać. Tymczasem w rzeczywistości na obu obrazach to Jezus błogosławi Jana Chrzciciela. Mylącym szczegółem może być tu fakt, że Jan Chrzciciel znajduje się blisko Maryi i że otacza go Ona ramieniem. Jednak nie istnieje choćby jeden historyk sztuki, który by myślał, że klęczące dziecko ze złożonymi rękami to nie jest Jan Chrzciciel. W londyńskiej wersji obrazu Jan Chrzciciel ma ubranie ze zwierzęcej skóry i trzyma kij, a zatem – elementy zawsze związane z nim w ikonografii; jest więc podwójnie oczywiste, że Jan Chrzciciel jest tym, który otrzymuje błogosławieństwo. A inne szczegóły obrazu z Luwru? Ręka Maryi nad głową Jezusa wygląda nieco tajemniczo, lecz wydaje się, że jest to gest wyrażający ochronę. Ręka anioła nie wykonuje

groźnego gestu, lecz wskazuje na Jana Chrzciciela – jako proroka, którego powinniśmy słuchać.

Jest to obraz niezwykły, zwłaszcza jako przedmiot zamówienia. Jego związek z Niepokalanym Poczęciem mógł nie być jasny dla zleceniodawców. Jednak, jak podkreśla Bramly, jest możliwe zauważenie tego związku: „Niepokalane Poczęcie, wydaje się mówić Leonardo, utorowało drogę Krzyżowi” (str. 190).

Podsumujmy – Brown źle identyfikuje zleceniodawców oraz główne osoby na obrazie, źle przedstawia istotę konfliktu i źle interpretuje obraz.

Pokłon Trzech Króli

Bohater powieści Langdon próbuje w pewnym momencie wyjaśnić tajemnicze, kontrowersyjne znaki, jakie Leonardo zawarł w swoich obrazach, poprzez nawiązanie do obrazu *Pokłon Trzech Króli*, który znajduje się obecnie w Galerii Uffizi we Florencji. Cytuje artykuł z „New York Times” (data publikacji: 21 kwietnia 2001) zwracający uwagę na pracę Maurizio Seraciniego – historyka sztuki, który rzekomo odkrył niesamowite tajemnice ukryte w tym dziele.

Pokłon Trzech Króli jest przygotowawczym rysunkiem do obrazu zamówionego przez klasztor we Florencji. Według większości badaczy rysunek został sporządzony przez Leonarda, zanim przeprowadził się on do Mediolanu. Na rysunek nałożono warstwę obrazu, która, według Seraciniego, ukrywa oryginalny rysunek Leonarda.

Brown napisał prawdę: w sprawie usunięcia tej wierzchniej warstwy doszło do wielkiego sporu.

Jednak Brown nie podał prawdziwej przyczyny konfliktu. Nie jest nią treść rysunku, gdyż właściciele muzeów we Włoszech (kraju w dużej mierze zlaicyzowanego) nie boją

się potencjalnie antyreligijnych czy heretyckich elementów w sztuce. Rzeczywistym źródłem konfliktu jest istniejący w świecie sztuki podział na tych, którzy chcą przywracać dziełom sztuki ich początkowy stan, i na tych, którzy się temu sprzeciwiają.

W tym przypadku, kiedy plany restauracji (czyli usunięcia warstwy farby) zostały ogłoszone, wiele osób ze świata sztuki, pod przewodnictwem grupy o nazwie „Art Watch International”, głośno zaprotestowało. Stwierdzili oni, że dzieło jest zbyt delikatne na taką restaurację, oraz że nie ma dowodu, iż to nie Leonardo namalował warstwę wierzchnią. Ich zdaniem warstwa ta nie jest próbą wypełnienia rysunku kolorami, lecz warstwą przygotowawczą, na którą miała być położona reszta farby. Zakwestionowali założenie, że warstwa przygotowawcza nie mogła pochodzić z ręki Leonarda.

Mówiąc krótko, ludzie z Art Watch International stwierdzili, że restauracja zniszczyłaby dzieło na kilku poziomach. Wygrali ten spór i plany restauracji zostały wstrzymane, lecz nie z powodów podanych przez Browna (więcej – patrz: www.artwatchinternational.org).

Mona Liza

W *Kodzie Leonarda da Vinci* Langdon wspomina swój wykład dla więźniów, w którym wyjaśnił tajemnicę *Mona Lizy*, posługując się teorią androgenizmu: według niego analiza komputerowa pokazuje duże podobieństwo *Mona Lizy* z autoportretami Leonarda da Vinci. Obraz jest zatem celowym androgenicznym przedstawieniem męsko-żeńskej postaci, odzwierciedlającym ideał równowagi pomiędzy męskością a żeńskością, któremu rzekomo hołdował Leonardo. Nawet tytuł obrazu – *Mona*

Liza, jest anagramem imion egipskich bóstw płodności: Amona i Izydy.

Kilka spraw wymaga tu wyjaśnienia.

Tożsamość osoby namalowanej na obrazie (który powstał między 1503 a 1505 rokiem) nie została wyjaśniona. Jest wiele teorii, lecz żadna z nich nie została udowodniona. Według najstarszej z nich jest to portret Monny (lub Mony) Lizy, żony Florentyńczyka o nazwisku Francisco del Giocondo.

Historyk sztuki Bruce Boucher napisał w „New York Times”, że nie ma udokumentowanych wizerunków Leonarda, z którymi można by porównać ten obraz. W związku z tym teorię mówiącą, iż *Mona Liza* ma jakieś cechy autoportretu Leonarda, Bramly uważa za najmniej prawdopodobną (*Leonardo...*, str. 369).

Amon (lub Ammon, albo Amun) to egipski bóg Słońca; poza niektórymi fallicznymi przedstawieniami, nie był on szczególnie kojarzony z płodnością. Żeński odpowiednik Amona to nie Izyda, lecz Muth.

Ponadto, jakkolwiek związek pomiędzy imionami egipskich bóstw a artystą i jego obrazem można od razu odrzucić, kiedy weźmiemy pod uwagę jeden prosty fakt: Leonardo nie jest autorem tytułu swojego obrazu. Nie wspomniał o nim nawet w żadnym ze swoich notatników, choć jest to bez wątpienia jego dzieło. Portret został nazwany *Mona Liza* przez jego pierwszego biografę – Giorgio Visariego, piszącego około trzydzieści lat po śmierci Leonarda. Nie są znane żadne inne identyfikacje obrazu, a już na pewno o tym tytule nigdzie nie mówi sam Leonardo. Jak więc mógłby przekazać jakiś komunikat poprzez tytuł obrazu, skoro nie miał z tym tytułem nic wspólnego (patrz: tamże, str. 368)?

Ostatnia Wieczerza

Doszliśmy wreszcie do kwestii kluczowej: Czy *Ostatnia Wieczerza* jest pełna zakodowanych informacji, wskazujących na małżeństwo Jezusa i Marii Magdaleny oraz na ogromne niezadowolenie Piotra?

Brown twierdzi, że poprzez ten obraz Leonardo przekazał swoją wiedzę o tym, iż Jezus i Maria Magdalena byli małżeństwem, że Maria Magdalena miała przewodzić Kościołowi, czego z kolei nie aprobował Piotr, i że Maria Magdalena była prawdziwym Świętym Graalem.

Na czym oparte są te twierdzenia? Na tym, że postacią na obrazie – identyfikowaną powszechnie jako św. Jan – jest tak naprawdę Maria Magdalena, że postacie Jezusa i „Marii Magdaleny” tworzą na obrazie kompozycję przypominającą literę „M”, że „bezcieleśna” ręka, przypuszczalnie należąca do Piotra, trzyma sztylet, i że na stole nie ma kielicha. Więc kielichem musi być Maria Magdalena.

Zacznijmy od małego wstępu teoretycznego. *Ostatnia Wieczerza* została namalowana na ścianach refektarza (sali jadalnej) w klasztorze w Mediolanie. Nie jest to fresk, wbrew temu, co mówi Brown. Fresk jest to obraz wykonany na wilgotnym tynku wapiennym za pomocą barwników rozpuszczalnych w wodzie; schnący tynk wiąże farbę, dając w rezultacie nasyconą barwę i trwały efekt. Leonardo pracował zbyt wolno, by malować fresk. Chciał spróbować czegoś innego, więc położył na kamienną ścianę cienki podkład, a następnie użył farb temperowych do nałożenia ostatniej warstwy. Nie był to dobry pomysł, gdyż zaledwie parę lat po ukończeniu tego malowidła ściennego farba zaczęła blaknąć i złuszczać się.

Aby dobrze zrozumieć ten obraz, trzeba wiedzieć, że jego tematem nie jest *Ostatnia Wieczerza* sama w sobie, lecz pewna szczególna jej chwila opisana w konkretnym miejscu *Pisma Świętego*.

Ostatnia Wieczerza kojarzy się nam z ustanowieniem Eucharystii. Brown bazuje na tym skojarzeniu, zwracając uwagę na brak głównego kielicha. Jego nieobecność – mówi Brown – oznacza, iż to Maria Magdalena jest prawdziwym Graalem.

Jednak tematem obrazu nie jest ustanowienie Eucharystii. Obraz przedstawia moment opisany w *Ewangelii według św. Jana* (J 13, 21-24), kiedy to Jezus oświadcza, że jeden z Jego uczniów Go zdradzi: „To powiedziawszy Jezus doznał głębokiego wzruszenia i tak oświadczył: »Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeden z was Mnie zdradzi«. Spoglądali uczniowie jeden na drugiego niepewni, o kim mówi. Jeden z uczniów Jego – ten, którego Jezus miłował – spoczywał na Jego piersi. Jemu to dał znak Szymon Piotr i rzekł do niego: »Kto to jest? O kim mówi?«”.

Intencją Leonarda było ukazanie charakterystycznej reakcji każdego z Apostołów na to oświadczenie. To niezwykle dramatyczna chwila: Apostołowie odchylają się od Jezusa, w pewnym sensie „opuszczają” Go, a On jakby zostaje sam (tak jak stało się to później); Apostołowie rozmawiają między sobą, zastanawiając się, kto z nich mógłby być zdrajcą, zwłaszcza wyeksponowany jest św. Piotr, który zwraca się do św. Jana. Ale to nie jest ustanowienie Eucharystii, gdyż *Ewangelia według św. Jana*, inaczej niż pozostałe Ewangelie, nie relacjonuje tego wydarzenia – a zatem kielich nie musi być obecny na tym szczególnym obrazie.

Dlaczego nie ma relacji o ustanowieniu Eucharystii w *Ewangelii według św. Jana*? Większość badaczy sądzi, że do tego czasu, kiedy ta *Ewangelia* powstała (koniec I wieku), chrześcijanie czuli, że szczegóły ich najświętszych obrzędów powinny być znane jedynie osobom w pełni wtajemniczonym. Dlatego

początkowo na przykład ci, którzy nawracali się na chrześcijaństwo, nie znali Modlitwy Pańskiej aż do pierwszego lub drugiego tygodnia po chrzcie i nie uczestniczyli w całej liturgii, zanim nie osiągnęli pełni wtajemniczenia. Prawdopodobnie *Ewangelia św. Jana* wyraża tę praktykę.

Czy postać na obrazie, powszechnie uważana za św. Jana, jest tak naprawdę św. Marią Magdaleną?

Nie. W tym okresie św. Jan był niezmiennie przedstawiany jako piękny, młody mężczyzna. Jego uroda może wydawać się nam nieco kobieca, lecz ludzie tamtej epoki nie mieli problemu z identyfikacją jego płci. We wszystkich przedstawieniach tej ewangelicznej sceny św. Jan siedzi u boku Jezusa.

By lepiej zrozumieć to zagadnienie, posłuchajmy, co mówi na ten temat historyk sztuki Elizabeth Levy: „Św. Jan na obrazie Leonarda ma łagodne rysy i jest bez brody. Brown próbuje zbić na tym kapitał, serwując nam nieprawdopodobną tezę, iż postać na obrazie jest kobietą. Nie zapominajmy o znaczeniu »typów« w malarstwie. W swojej *Teorii malarstwa* Leonardo wyjaśnia, że każda postać powinna być namalowana zgodnie ze swoją pozycją społeczną i wiekiem. Na przykład mądry mężczyzna ma pewne cechy charakterystyczne, stara kobieta – inne cechy charakterystyczne, dziecko – jeszcze inne. Jednym z klasycznych typów, obecnym w renesansowych obrazach, jest »uczeń«; faworyzowany zwolennik, protegowany lub uczeń jest zawsze portretowany jako człowiek bardzo młody, długowłosy i gładko wygolony. Wizerunek taki ma wyrażać myśl, iż portretowany mężczyzna nie doszedł jeszcze do tego momentu w życiu, kiedy będzie musiał znaleźć swoją własną drogę. Przez cały renesans artyści przedstawiali św. Jana w ten właśnie sposób. Jest on »uczniem, którego Jezus miłował« – jedynym, który będzie stał pod

krzyżem. Jest wzorem ucznia. Dla artysty renesansu jedynym sposobem przedstawienia św. Jana było ukazanie go jako młodzieńca bez zarostu i bez żadnych charakterystycznych cech twardego, zdecydowanego mężczyzny. *Ostatnie Wieczery* namalowane przez Ghirlandaio oraz Andrea del Castagno pokazują podobnie łagodnego, młodego św. Jana” (z artykułu zamieszczonego w: www.zenit.org).

Jak zauważa historyk sztuki Bruce Boucher w artykule opublikowanym 3 sierpnia 2003 roku w „New York Times”, tajemnicza, „bezcielesna” ręka, która zdaniem Browna grozi „Marii Magdalenie” (czyli św. Janowi), również ma swoje wytłumaczenie: „(...) ale ta ręka nie jest bezcielesna. Zarówno przygotowawcze szkice Leonarda, jak i wczesne kopie *Ostatniej Wieczery* pokazują, że ręka i sztylet należą do św. Piotra – jest to nawiązanie do tego fragmentu *Ewangelii według św. Jana*, w którym św. Piotr wyciąga miecz w obronie Jezusa”.

Ostatnia Wieczera jest obrazem działającym na wyobraźnię, bogatym w znaczenia, skłaniającym do rozmyślań; na przykład kiedy widzimy różne reakcje Apostołów, możemy zastanowić się nad naszymi własnymi reakcjami na Jezusa. Obraz ten z pewnością nie posiada tych znaczeń, o których pisze Brown. Nie ma najmniejszych dowodów przemawiających za tezami Browna.

I pamiętajmy – autor obrazu nazywał się „Leonardo”, a nie „Da Vinci”.

Warto przeczytać

S.B. Nuland, *Leonardo da Vinci*, Viking Press 2000.

S. Bramley, *Leonardo: The Artist and the Man*, Penguin Books 1995.

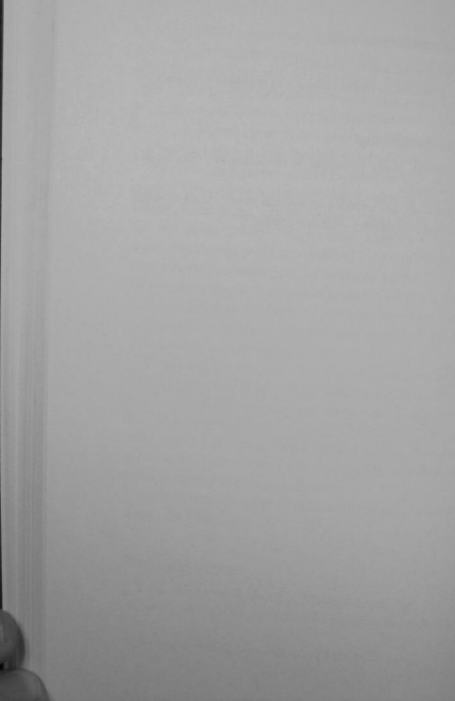
R. Turner, *Inventing Leonardo*, Knopf 1993.

Pytania powtórzeniowe

1. Jakim człowiekiem był Leonardo?
2. Jakie znaczenia i symbole zawarte są w *Ostatniej Wieczerzy*?

Kwestie do dyskusji

1. Jak sztuka może pomagać w rozważaniu życia Jezusa Chrystusa?
2. Czego uczy nas sztuka o sposobach przeżywania ewangelicznego przesłania w różnych epokach?



ŚWIĘTY GRAAL, ZAKON SYJONU I TEMPLARIUSZE

Historia Świętego Graala jest niejednoznaczna i tajemnicza, ocierająca się o mitologię, fantazję i romans. Święty Graal stał się przedmiotem legendy (o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu), poezji (*The Idylls of the King* Alfreda Lorda Tennysona) i opery (*Parsifal* i *Lohengrin* Richarda Wagnera).

Patrząc z tej perspektywy, ktoś mógłby powiedzieć, że nie możemy Browna potępiać za wykorzystanie w powieści teorii zaczerpniętych z *Holy Blood*, *Holy Grail* czy *The Templar Revelation*. Mimo że nie musi się to nam podobać, mit Świętego Graala był wykorzystywany w przeszłości na różne sposoby.

Jednak w tym przypadku chodzi o zatarcie granicy pomiędzy tym, co mogło się wydarzyć, a tym, co na pewno się nie wydarzyło – pomiędzy możliwymi zdarzeniami a oczywiście fikcją. Brown rzuca nam mądrze brzmiące stwierdzenia na każdej stronie, więc zaczynamy w nie wierzyć.

Czy rzeczywiście ktoś kiedyś w przeszłości interpretował Świętego Graala jako Marię Magdalenę i jej lono? Czy rzeczywiście zajmowali się tym templariusze oraz Zakon Syjonu?

Odpowiedź na te pytania jest negatywna.

Święty Graal

Źródła mitu o Świętym Graalu nie są do końca znane, prawdopodobnie tkwią w celtyckich legendach o dających życie naczyniach napelniczonych krwią. Historycznie pierwszy i zarazem jeden z najsłynniejszych zapisów o Świętym Graalu znajduje się w średniowiecznym poemacie *Perceval*, którego autorem był Chrétien de Troyes, żyjący w XII wieku.

W tej i w innych legendach tego okresu wyobrażenie tego, czym był Graal, zmieniało się. Graal bywał uważany za pięknie inkrustowane naczynie, zdolne obdarzać nieskończoną ilością pożywienia i napoju; za naczynie, z którego Jezus i Apostołowie spożywali paschalnego baranka; za kielich, którego użył Jezus podczas Ostatniej Wieczerzy; za naczynie, w które Józef z Arymatei zebrał krew Jezusa wypływającą z Jego ciała na krzyżu.

W legendach Graal jest często chroniony przez jakąś kobietę, a jego istnienie jest przyczyną wielu poszukiwań. Legendy o Graalu stanowią mieszankę folkloru, romansu i „religijnej mitologii”. Choć na świecie istnieje kilka kielichów, o których twierdzi się, że są Świętym Graalem – kielichem Jezusa z Ostatniej Wieczerzy, to jednak nigdy te ludowe wierzenia nie zostały oficjalnie uznane przez Kościół.

Z powodu roli kobiet w chronieniu Graala oraz jego związku z wizerunkiem małego dziecka w niektórych wariantach legendy, Graal jest faktycznie nośnikiem pewnej symboliki kojarzącej się z daniem życia i narodzinami. Jednak nie jest znana żadna taka interpretacja legendy Graala, która może stanowić podstawę dla tez Browna (powtarzanych za książką *Holy Blood, Holy Grail*) o Graalu jako symbolu „utraconej bogini”, Marii Magdaleny czy „dynastii Jezusa”. Co więcej, większość badaczy interpretuje

tę metaforykę jako odnoszącą się do Najświętszej Maryi Panny, której kult dynamicznie rozwinął się we wczesnym średniowieczu.

A teraz odnieśmy się do tego ekscytującego, a jednocześnie „szokującego” momentu z zakończenia 58. rozdziału powieści, kiedy to Teabing rozszyfrowuje francuskie słowo *Sangreal*. Twierdzi on, że tradycyjna etymologia dzieliła to słowo tak: *San Greal* – czyli „Święty Graal”, ale zobaczmy, co się dzieje, gdy (co za odkrycie!) słowo to podzielimy inaczej: *Sang Real* – to znaczy „Królewska Krew”.

I oto mamy dowód!

Mam przed sobą artykuł o Świętym Graalu z *Catholic Encyclopedia*, wydanej w 1914 roku. Możemy w nim przeczytać: „Interpretacja »San greal« jako »sang real« (królewska krew) pojawiła się w późnym średniowieczu”.

„Królewska krew”, w kontekście legend o Graalu, to oczywiście krew Chrystusa. To szczególne podzielenie słowa i ta interpretacja nie stanowiła rewelacji ani w późnym średniowieczu, ani w roku 1914 – nie jest więc nią i teraz.

Templariusze i Zakon Syjonu

Historyjka, którą Brown opowiada o templariuszach i Zakonie Syjonu, jest oparta na książkach (powtórzmy to jeszcze raz): *Holy Blood*, *Holy Grail* oraz *The Templar Revelation*. Większa część tej historyjki nie ma natomiast oparcia w faktach.

Przede wszystkim, w przeciwieństwie do tego, co Brown pisze na początku książki, Zakon Syjonu nie istniał w postaci przez niego opisanej. Cytowane przez niego dokumenty, w tym lista „Wielkich Mistrzów” Zakonu Syjonu, na której są takie nazwiska, jak Wiktor Hugo czy Leonardo, są fałszer-

stwem dokonanym we Francuskiej Bibliotece Narodowej prawdopodobnie w końcu lat 50. XX wieku.

A oto krótka historia tego fałszerstwa: Organizacja o nazwie „Zakon Syjonu” pojawiła się w XIX wieku we Francji. Była to prawicowa grupa walcząca z rządem. Nazwa zostaje odnotowana po raz kolejny tuż przed II wojną światową i jest związana z działalnością politycznego awanturnika o nazwisku Pierre Plantard. W połowie lat 50. Plantard zaczął twierdzić, że jest on francuskim następcą tronu z linii Merowingów. Założył grupę o nazwie „Zakon Syjonu”, a we francuskich bibliotekach i archiwach podłożył fałszywe dokumenty potwierdzające starożytny rodowód tej organizacji oraz rozpropagował mit „królewskiej dynastii Jezusa”.

Laura Miller w artykule opublikowanym w „New York Times” (*The Da Vinci Con*, 22 lutego 2004) pisze: „Ostatecznie »dowody« rzekomej autentyczności historii Zakonu Syjonu opierają się na zbiorze wycinków i dokumentów napisanych pod pseudonimem, o których nawet autorzy *Holy Blood, Holy Grail* piszą, że zostały podłożone w Bibliotece Narodowej przez Pierre’a Plantarda. W latach 70. jeden z członków jego organizacji przyznał, że pomógł Plantardowi sfabrykować te materiały, m.in. tablice genealogiczne przedstawiające Plantarda jako potomka Merowingów (a więc zgodnie z tą teorią – także potomka Jezusa Chrystusa) oraz listę »wielkich mistrzów« Zakonu Syjonu. Ten bezsensowny katalog intelektualnych sław zawiera takie nazwiska, jak Botticelli, Izaak Newton, Jean Cocteau i, oczywiście, Leonardo da Vinci – i jest tą samą listą, którą zamieszcza Dan Brown w początkowej części książki opatrzonej nagłówkiem »Fakty«, rozgłaszając jednocześnie rzekomy 900-letni rodowód tej organizacji. Plantard, jak się w końcu okazało, był zatwardziałym łotrem z kryminalną przeszłością i ze związkami

z wojennymi grupami faszystowskimi. Prawdziwy Zakon Syjonu był małą, niegroźną grupą podobnie myślących osób, która powstała w 1956 roku. Mistyfikacja Plantarda została obalona w kilku (jeszcze nie przetłumaczonych) francuskich książkach oraz programie dokumentalnym zrealizowanym przez BBC w 1996 roku, lecz – co ciekawe – materiały te nie stały się tak popularne jak fantazje *Holy Blood*, *Holy Grail* lub *Kodu Leonarda da Vinci*”.

W *Kodzie Leonarda da Vinci* paryski kościół Saint-Sulpice (zbudowany w latach 1646-1789) jest wykorzystywany przez Zakon Syjonu do ukrycia sekretu związanego z Graalem. Sfałszowana historia tej nigdy nie istniejącej organizacji również opisuje ten związek, który w rzeczywistości nie miał miejsca. „Linia róży” i obelisk nie mają ezoterycznego znaczenia. W rzeczywistości spora liczba kościołów w Europie pełniła jednocześnie funkcję obserwatoriów astronomicznych. W sklepieniu lub w ścianie robiono mały, okrągły otwór, dzięki któremu ruch słońca na niebie powodował przesuwanie się oświetlonej plamy na podłodze. Kiedy słońce osiągało pewien punkt, w tym przypadku obelisk, było to albo zimowe, albo letnie przesilenie (więcej – patrz: J.L.Heilbron, *The Sun in the Church*, Harvard University Press 1999).

Krótko mówiąc – Zakon Syjonu nigdy nie istniał jako chroniąca Graala grupa o tysiącletniej tradycji.

Natomiast templariusze istnieli. Zakon templariuszy został założony w Ziemi Świętej po zdobyciu Jerozolimy w XI wieku. Templariusze, zwani też Ubogimi Rycerzami Chrystusa i Świątyni Salomona, byli zakonem rycerskim. Byli „zakonnikami” w tym sensie, że składali śluby (przede wszystkim – że będą bronić świętych miejsc Ziemi Świętej

oraz pielgrzymów tam przybywających) i byli posłuszni regule, która podkreślała obowiązki religijne (codzienna modlitwa i Msza św., odprawiana przez księży należących do zakonu) oraz wymogi dotyczące postępowania: „Celem niektórych instrukcji było ograniczenie pewnych zachowań charakterystycznych dla rycerzy. Mieli oni być pokornymi ludźmi, zadowalającymi się skromnymi środkami materialnymi (...). Nie mogli brać udziału w turniejowych walkach konnych na kopie, nie mogli polować” (M. Walsh, *The Warriors of the Lord*, str. 156).

Templariusze urosli w siłę w ciągu XIII i XIV wieku, podobnie jak inne zakony rycerskie, m.in. ich główni rywale – zakon szpitalników. Zgromadzili wielkie bogactwa i prowadzili działalność bankową w Paryżu i Londynie.

Czy templariusze mieli jakiś związek z legendą Graala? Wydaje się, że nie – aż do XIX wieku, kiedy to wzrosło zainteresowanie tajnymi organizacjami, zwłaszcza masonerią. W roku 1818 pewien Niemiec o nazwisku Joseph von Hammer-Purgstall napisał książkę pt. *Ujawnienie tajemnicy Baphometa*, uwydatniając w niej rzekomą historię templariuszy i przypisując im czczenie Mahometa oraz pełnienie funkcji strażników Świętego Graala – który w jego wersji nie był naczyniem z Ostatniej Wieczerzy, lecz pewnym rodzajem gnostyckiej wiedzy i w szczególności „specjalnym typem gnostyków, którzy przeklinali Chrystusa” (M. Walsh, *The Warriors...*, str. 190). Współczesne spekulacje na temat templariuszy mają swoje korzenie w tego rodzaju piśmiennictwie.

Wróćmy do prawdziwej historii. Zakon templariuszy został zlikwidowany, ale nie w taki sposób, jak opisuje Brown.

Brown rzuca oskarżenie na papieża Klemensa V, lecz dowody wskazują, że to francuski król Filip II postanowił stanąć do walki z templariuszami, głównie dlatego, że potrze-

bował pieniędzy, a oni posiadali wielkie bogactwa. Król podjął pierwszą decyzję 13 października 1307 roku – kazał uwięzić wszystkich templariuszy we Francji (nie „w całej Europie”, jak pisze Brown, chociaż ma rację, łącząc tę datę – „piątek trzynastego” – z przesądem na temat pecha).

Papież Klemens V nie był zadowolony z powodu działań Filipa, gdyż templariusze znajdowali się pod jego opieką. Jednak później, 22 listopada 1307 roku, przystał na rozprawienie się z templariuszami w całej Europie.

Pisząc o templariuszach, Brown często nawiązuje do Watykanu jako miejsca, w którym zapadały decyzje papieża. Jest to błąd zdradzający kompletną ignorancję autora. W tym okresie papież Klemens V nie przebywał w Watykanie, ani nawet w ogóle we Włoszech. Znajdował się w Awinionie we Francji jako więzień króla Filipa II i był zmuszony wykonywać królewskie polecenia.

Warto dodać, że w tym czasie Watykan nie był główną papieską rezydencją, nawet gdyby papież Klemens V przebywał w Rzymie. Od IV do początków XIV wieku papieska rezydencja była na Lateranie. Została ona zniszczona przez pożar w roku 1308, tuż przed „niewolą awiniońską”, i dopiero po powrocie papieża do Rzymu w 1377 roku rezydencją papieża stał się Watykan.

Templariusze zostali ostatecznie rozwiązani w 1312 roku przez Sobór w Wenecji, który początkowo nie był przekonany co do tej decyzji, lecz podjął działania, kiedy Filip II pojawił się nagle u bram miasta. Ich potępienie, jak pisze Michael Walsh, „było tylko czasowe i nie potwierdzało winy templariuszy” (*The Warriors...*, str. 173).

Ironia losu sprawiła, że majątek templariuszy trafił do drugiego głównego zakonu rycerskiego – szpitalników. Królowi Filipowi nie udało się więc wyciągnąć korzyści ze swoich brutalnych działań; zresztą niebawem, podobnie jak papież Klemens V, zmarł.

Zatem Brown znacznie wyolbrzymia antypatię papieża Klemensa V do templariuszy i błędnie oskarża o zlikwidowanie zakonu papieża, zamiast króla Francji Filipa II.

Na koniec Brown popełnia jeszcze jeden poważny błąd. Twierdzi, że kolisty plan kościoła Temple w Londynie ma charakter pogański, gdyż templariusze specjalnie postanowili „zignorować” tradycyjną kościelną architekturę, chcąc oddać cześć Słońcu.

Biorąc pod uwagę, że templariusze byli (jak świadczą o tym wszelkie źródła historyczne) organizacją katolicką, której członkowie ślubowali bronić wiary katolickiej, wydaje się to wysoce nieprawdopodobne. Co więcej, jest to nieporozumienie, ponieważ okrągły kościół Temple został zbudowany na wzór kościoła znajdującego się w mieście, które dla templariuszy było bardzo ważne: Kościoła Świętego Grobu, postawionego w miejscu, gdzie znajdował się grób Jezusa, w Jerozolimie.

Kościół ten jest, oczywiście, okrągły.

Czy templariusze wynaleźli i propagowali gotycką architekturę jako środek przekazu idei „sakralności żeńskiej”? Nie, nie istnieją zapisy historyczne o wkładzie templariuszy w rozwój architektury, z wyjątkiem budowy ich własnych kościołów. Styl gotycki był rozwijany i doskonalony w latach 1100-1500 (najpierw we Francji) – stanowił rezultat poszukiwań sposobów konstruowania mocniejszych i wyższych kościelnych ścian, luków i maksymalnie oświetlonych wnętrz. Konstrukcje gotyckie mają bogatą symbolikę, ale elementy anatomii kobiecej do tej symboliki nie należą.

Warto przeczytać

M. Walsh, *The Warriors of the Lord: The Military Orders of Christendom*, W.B. Eerdmans Publishing 2003.

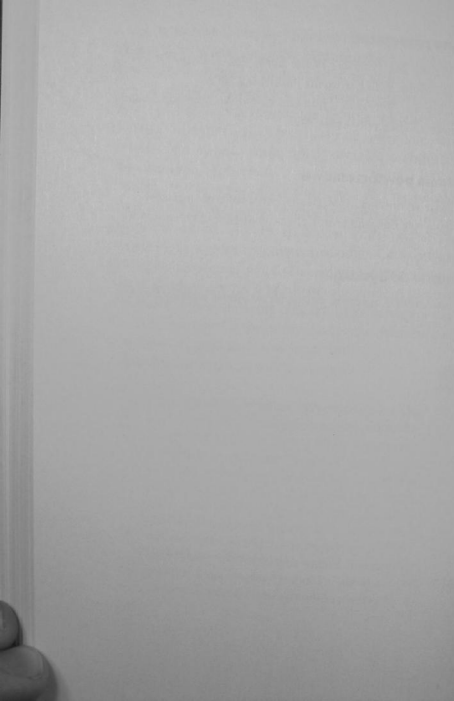
R.H. Loomis, *The Grail: From Celtic Myth to Christian Symbol*, Princeton University Press 1991.

Pytania powtórzeniowe

1. Jakie wyobrażenia Świętego Graala sugeruje legenda?
2. Jaką rolę odegrali templariusze w historii chrześcijaństwa?

Kwestie do dyskusji

1. Jak myślisz, na czym polega atrakcyjność legendy Świętego Graala?



KATOLICKI KOD

Kod Leonarda da Vinci usiłuje narzucić czytelnikowi ściśle określony i, łagodnie mówiąc, niezbyt pozytywny pogląd na temat Kościoła katolickiego.

Od czasu do czasu *Kod* próbuje maskować swój cel deklaracjami typu: „Współczesny Kościół oczywiście nie zaangażowałby się w tak nikczemne przedsięwzięcia, bo w sumie robi sporo dobrego, nawet jeśli robi też sporo złego”. Natomiast na samym końcu książki dowiadujemy się, że katolickie „czarne charaktery” to tylko naiwniacy (z wyjątkiem mordercy z *Opus Dei*) manipulowani przez Teabinga, który okazuje się być tajemniczym „Nauczycielem”, „pociągającym za wszystkie sznurki”.

Ale te maskujące posunięcia nie zmieniają wydźwięku całej powieści: czytelnikowi trudno oprzeć się wrażeniu, iż Kościół katolicki jest monolityczną, ściśle kontrolowaną instytucją, próbującą narzucić światu jakąś fikcję – temu światu, który tak bardzo pragnie być wolny.

Jest to dość rozpowszechniony schemat antykatolickiej propagandy, nie tylko w ostatnich czasach. Jeśli sięgniemy na przykład do bogatej antykatolickiej propagandy z XIX-wiecznej Ameryki, znajdziemy tam te same zarzuty, tylko wyrażone bardziej ozdobnym językiem.

Taki właśnie obraz Kościoła maluje *Kod Leonarda da Vinci*. Najbardziej sugestywnie robi to, opisując *Opus Dei*.

Opus Dei

Wydaje się, że w ostatnim czasie wrogowie Kościoła wytypowali właśnie Opus Dei, by odgrywało ono we współczesnej kulturze masowej tę rolę, która w przeszłości była przypisana zakonowi jezuitów: perfekcyjnie zorganizowanej grupie, bezpośrednio sterowanej z Watykanu, która infiltrowała światowe instytucje, żeby zdobyć władzę, a potem...

Jezuici, zakon misjonarski i nauczający, założony w 1534 roku przez św. Ignacego Loyolę, był w swoim czasie ostro zwalczany. Pod koniec XVIII wieku usunięto jezuitów z kilku krajów europejskich, doprowadzono nawet do likwidacji zakonu przez papieża w niektórych krajach w latach 1773-1814. Rzekome „ciemne sprawy” zakonu były szeroko opisywane w antykatolickiej literaturze, zarówno świeckiej, jak i protestanckiej. Zdarza się to nawet jeszcze dzisiaj. Określenie „jezuicki” nie brzmi jak komplement.

W tym sensie, jako upowszechniony w propagandzie symbol tajności i zła przebranego za dobro, Opus Dei z pewnością zastąpiło w dzisiejszych czasach zakon jezuitów.

Oczywiście, można znaleźć i takich ludzi, którzy z różnych powodów zrazili się do Opus Dei i którzy będą opowiadać, iż organizacja do tego stopnia nimi manipulowała, że zbyt pochopnie do niej przystąpili, oraz że w okresie przynależności byli nadmiernie kontrolowani. Jeśli ktoś zbiera wszystkie relacje na temat Opus Dei, powinien wysłuchać także i takich. Jest jednak uderzające, że Brown oparł się wyłącznie na takich relacjach.

W swojej powieści Brown podaje kilka prawdziwych informacji o Opus Dei. Prawdą jest, że Opus Dei ma dużą, nową siedzibę w Nowym Jorku. Prawdą jest, że w Opus Dei jest duch tradycyjnej pobożności. Prawdą jest, że

Opus Dei to prałatura personalna Kościoła katolickiego^{*}. Prawdą jest, że niektórzy członkowie praktykują umartwienia cielesne.

Ale to już wszystkie prawdziwe informacje o Opus Dei podane przez Browna.

Przejdźmy teraz do nieprawdziwych.

Najpierw wskażmy jeden horrendalny błąd. Silas, albinos-morderca z Opus Dei, jest mnichem, zakonnikiem. Nosi nawet habit – jak to mnich...

Z tym że – w Opus Dei nie ma mnichów!

Opus Dei to nie religijny zakon, jak dominikanie, benedyktyni czy jezuita. W Kościele katolickim zakonnicy należą do zakonów religijnych i żyją w klasztorach lub domach zakonnych. W Opus Dei są zarówno świeccy, jak i księża, przy czym świeckich jest wielokrotnie więcej. Opus Dei zostało założone w 1928 roku właśnie dla ludzi świeckich. Dopiero piętnaście lat później powstało Kapłańskie Stowarzyszenie Świętego Krzyża – by formalnie włączyć księży w pracę Opus Dei.

Założycielem Opus Dei był Josemaría Escrivá de Balaguer, hiszpański ksiądz. Opus Dei (co znaczy: „Dzieło Boże”) zostało założone, by pomagać ludziom świeckim w odpowiedzeniu na ich własne, niepowtarzalne wezwanie do świętości w świecie i we wzrastaniu w miłości do Boga i ludzi. Pierwszą i najbardziej znaną książką ks. Escrivy, która przybliżyła ducha Opus Dei, jest *Droga*. Nauczanie ks. Escrivy jest zawarte także w innych książkach, m.in.

* Prałatury personalne są strukturami analogicznymi do diecezji. Na czele prałatury stoi prałat mianowany przez papieża. W prałaturze są zarówno kapłani, jak i wierni świeccy – mężczyźni i kobiety. Wierni prałatury nadal przynależą do diecezji, w których zamieszkują. (przyp. red.)

w *To Chrystus przechodzi*, gdzie czytamy: „Jezus, wzrastając i żyjąc jak jeden z nas, objawia nam, że ludzka egzystencja, codzienne, zwykle ludzkie zajęcia mają Boski sens. Choćbyśmy rozważali już te prawdy wiele razy, zawsze powinno ogarniać nas zdumienie na myśl o trzydziestu latach spędzonych w ukryciu, stanowiących większą część pobytu Jezusa wśród Jego braci, ludzi. Lata okryte cieniem, ale dla nas jasne jak światło słońca. A raczej jak blask oświetlający nasze dni i nadający im prawdziwe znaczenie, gdyż jesteśmy zwykłymi chrześcijanami, prowadzącymi zwyczajne życie, podobne do życia tylu milionów ludzi w najróżniejszych zakątkach świata”.

Fragment ten dobrze charakteryzuje duchowość Opus Dei. Jednocześnie wyprowadza z błędu tych, którzy dali się zwieść fałszywym twierdzeniom Browna, iż tradycyjne chrześcijaństwo ignoruje człowieczeństwo Jezusa i realia ludzkiego życia.

Ksiądz Escrivá zmarł w 1975 roku, a 6 października 2002 został ogłoszony świętym.

Oczywiście, to nie duchowość Opus Dei intryguje opinię publiczną, lecz pewne aspekty życia Dzieła – te same aspekty, na które Brown chce zwrócić uwagę swoich czytelników.

Członkostwo w Opus Dei występuje w różnych formach, odpowiadających różnym sytuacjom osobistym. Wszyscy członkowie Opus Dei realizują ten sam „plan życia”, na który składają się m.in.: codzienna Msza św., różaniec, czytanie duchowe, modlitwa myślna. Ci członkowie, którzy żyją w związkach małżeńskich – to tzw. „supernumerariusze”. Z kolei tzw. „numerariusze” żyją w celibacie, wykonują te same zawody, które wykonywali przed przystąpieniem

do Opus Dei, ale swoje zarobki zwykle przeznaczają na wspieranie prac apostołskich Opus Dei. Numerariusze mieszkają w ośrodkach Opus Dei w celu organizacji pracy apostołskiej”.

O co chodzi w Opus Dei? Po prostu o wcielanie w życie Bożego wezwania do świętości, tak głęboko jak tylko jest to możliwe. Może się to przejawiać w wykonywaniu jakiegoś świeckiego zawodu, może polegać na uczestnictwie w jednym z wielu dzieł prowadzonych przez Opus Dei na całym świecie, takich jak: szkoły wszystkich typów, rolnicze programy szkoleniowe w krajach biednych, kliniki i inne instytucje.

Jednym z najbardziej kontrowersyjnych aspektów Opus Dei, często podkreślanym w *Kodzie*, są cielesne, fizyczne umartwienia – poprzez używanie włosienicy (w formie specjalnego łańcucha opinanego na udzie) oraz dyscypliny (biczowanie się sznurem z węzłami)”.

Wielu „nowoczesnym” ludziom takie praktyki mogą wydawać się dziwne, ale warto zauważyć, że asceza, w tej, czy innej formie, jest obecna we wszystkich religiach świata: posty (czasem bardzo surowe), modlitwy lub medytacje w niewygodnych pozycjach lub nawet celowe używanie niewygodnych ubrań albo chodzenie bez butów.

Umartwienia cielesne, łącznie z używaniem włosienicy i dyscypliny, nie są wynalazkiem Opus Dei. Kiedy poznajemy żywoty świętych, dowiadujemy się, że wielu z nich także czuło się wezwanych do takich praktyk. Dlaczego? By być bliżej Chrystusa poprzez udział w Jego cierpie-

* Więcej informacji na temat Opus Dei można znaleźć: www.opusdei.pl, www.pl.josemariaescriva.info, www.pl.escrivaworks.org (przyp. red.)

** Takie umartwienia praktykują za zezwoleniem kierownika duchowego tylko nieliczni członkowie Opus Dei; pisze o tym Rafael Gómez Perez w: *Opus Dei – próba wyjaśnienia*, Lublin 1999, str. 81. (przyp. red.)

niach. By pokutować w ten sposób za grzechy własne albo innych osób. Niektórzy traktowali takie umartwienia również jako skuteczny środek wzrastania w samodyscyplinie albo pomoc w osiągnięciu takiego stanu, w którym ich dusza mogłaby skoncentrować się na Bogu i cieszyć się Jego obecnością, bez względu na odczuwany fizyczny dyskomfort.

Zapewne nie jest to rzecz zwyczajna. Jednak, żeby zachować właściwą perspektywę, porównajmy to z „cielesnymi umartwieniami” znoszonymi przez niektórych po to, by lepiej wyglądać: diety, wysiłek i ból w czasie ćwiczeń fizycznych, a nawet poddawanie się bolesnym operacjom. A wszystko to tylko po to, by poprawić swój wygląd – jedynie to, co widzą inni, kiedy na nas patrzą.

Ci, którzy doświadczyli wzrostu duchowego, przekonwaliby, że zasada *no pain, no gain*⁷ stosuje się także do życia duchowego, przynajmniej w ich przypadku.

Źródłem wielu spekulacji jest także aura tajemniczości, która otacza Opus Dei, ponieważ pewne aspekty funkcjonowania Dzieła nie są ujawniane. Na przykład Opus Dei nie publikuje list członków i nie zaleca publicznego obnoszenia się ze swoją przynależnością do Dzieła⁸.

Przyczyną tego stanu rzeczy nie jest chęć ukrycia jakichś nieprawości, lecz po prostu pokora i posłuszeństwo Ewangelii. W *Ewangelii według św. Mateusza* (patrz: Mt 6, 1-18) czytamy, iż Jezus wzywa swoich uczniów do życia w świętości, ale nakazuje czynić to w sposób niemal niezau-

⁷ Ang.: „bez bólu nie ma osiągnięć”. (przyp. tłum.)

⁸ Podobnie diecezje i parafie Kościoła katolickiego nie publikują list należących do nich wiernych – byłoby to naruszenie prawa do prywatności tych osób. Prałatura Opus Dei publikuje w swoim oficjalnym półroczniku „Romana” i w innych biuletynach informacje analogiczne do tych publikowanych przez inne struktury hierarchiczne Kościoła katolickiego. (przyp. red.)

ważalny dla otoczenia. Kiedy dajesz jałmużnę – mówi On – „niech nie wie lewa twoja ręka, co czyni prawa”. Kiedy się modlisz, idź do swego pokoju, „zamknij drzwi i módl się do Ojca twego, który jest w ukryciu”. Kiedy pościsz, nie przybieraj posępnego wyglądu. Umyj twarz – mówi Jezus – i namaść sobie głowę, tak, by nie było widać, że pościsz.

W tym duchu członkowie Opus Dei zachowują dyskrecję w kwestii ich duchowych praktyk. Ich powołanie polega na tym, by być zacynem i światłem świata, by urzeczywistniać dzieło Boga w ich codziennym życiu.

Antykatolickość Kodu

Katolicy czytający *Kod* powinni czuć się w pewnym sensie pozytywnie wyróżnieni. Niezależnie od wszystkiego, co Brown napisał, według niego jedynym ucieleśnieniem chrześcijaństwa w świecie był i jest Kościół zachodni.

Oczywiście, nie do końca jest tak, jak przedstawia to Brown. Na przykład duża część aktywności teologicznej – formowanie kanonu *Pisma Świętego*, badanie ludzkiej i Boskiej natury Chrystusa – miała miejsce nie na Zachodzie, ale na Wschodzie, głównie za sprawą biskupów Kościoła wschodniego. Korzenie Kościołów wschodnich sięgają równie głęboko, jak korzenie Kościoła zachodniego.

Poza tym są jeszcze chrześcijańskie Kościoły protestanckie, powstałe w okresie reformacji. Mimo głębokich różnic w wielu kwestiach z katolicyzmem i prawosławiem, od usprawiedliwienia i zbawienia do sakramentów, Kościoły te wciąż uznają tradycyjną doktrynę o ludzkiej i Boskiej naturze Jezusa – doktrynę, która według Teabinga sprzeniewierza się „prawdziwej historii Jezusa”. Niektóre z tych Kościołów angażowały się także w zwalczanie heretyków i w „polowania na czarownice” (na przykład w XVII-

-wiecznym Salem, w co katoliccy biskupi nie byli zaangażowani”).

Jednak ze znanych jedynie sobie powodów Brown wskazuje jako winowajcę i wroga „prawdziwych” intencji Jezusa nie całe chrześcijaństwo, lecz tylko Kościół katolicki – konsekwentnie i bez żadnych wyjątków. Mimo że również inne Kościoły chrześcijańskie wyznają wiarę w Bóstwo Chrystusa, tak jak to określił Sobór Nicejski i inne sobory pierwszych wieków, oraz mimo że przyjmują one niemal ten sam kanon *Pisma Świętego*. Ponadto – mimo że Kościoły protestanckie, które pomniejszają rolę Maryi w swojej teologii i kulcie, mogłyby zasługiwać na znacznie większy krytycyzm za wygnanie „sakralności żeńskiej” ze swojej duchowości.

Na tej właśnie podstawie jest w pełni uprawnione określenie *Kodu Leonarda da Vinci* jako książki antykatolickiej. Nie chodzi już nawet o to, że Brown mówi rzeczy nieprawdziwe o katolicyzmie. Chodzi o to, że przypisuje Kościołowi katolickiemu winę za „zbrodnie” – przedstawianie Jezusa w niewłaściwym świetle, tłumienie „sakralności żeńskiej”, odrzucanie prawdziwego przywództwa Marii Magdaleny w Kościele – za które, logicznie rzecz biorąc, powinno być obwinione całe chrześcijaństwo.

Dlaczego Brown to robi? Może dlatego, iż jest to najprostsze.

To najkorzystniejsze dla Browna wyjaśnienie.

Łatwiej się w ten sposób pisze i łatwiej czyta. Nie warto pisać o rzeczach prawdziwych, zbyt dokładnie przedstawiać złożonych problemów prawdziwego życia i prawdziwej historii. Jest to po prostu trudniejsze niż na przykład

¹ Salem – miasto w USA; w 1692 odbył się tam głośny „proces czarownic” – stracono 20 kobiet. (przyp. red.)

wywleknięcie bredni o łajdakach w sutannach, taszczących walizki pełne pieniędzy...

Czy więc katolicy powinni się czuć pozytywnie wyróżnieni?

Chyba możemy zrozumieć, jeśli nie.

Warto przeczytać

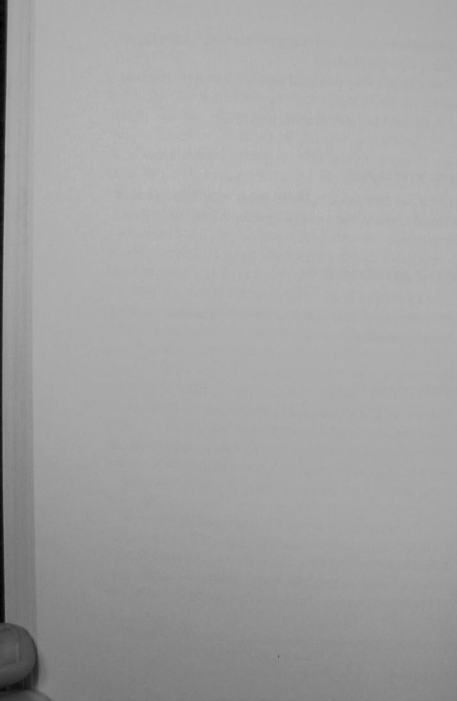
Opus Dei, w: *Encyklopedia „Białych Plam”*, t. XIII, Radom 2004.
P.J. Kreeft, *Catholic Christianity*, Ignatius Press 2001.

Pytania powtórzeniowe

1. Co to jest Opus Dei?
2. W jaki sposób *Kod Leonarda da Vinci* zniekształca obraz chrześcijaństwa?

Kwestie do dyskusji

1. Jak myślisz, jaka powinna być odpowiedź chrześcijan na negatywne lub błędne przedstawianie ich wiary?
2. Jak postrzegamy ludzi, którzy starają się urzeczywistnić przesłanie Jezusa we współczesnym świecie?



EPILOG

DLACZEGO TO WSZYSTKO JEST WAŻNE

Z fenomenu *Kodu Leonarda da Vinci* wyniknęła tylko jedna dobra rzecz – nastąpił wzrost zainteresowania tak istotnymi kwestiami, jak: tożsamość Jezusa, historia początków chrześcijaństwa, siła oddziaływania sztuki, zagadnienia płci i duchowości.

Natomiast godne pożałowania jest to, że tezy *Kodu* spotkały się z tak dobrym przyjęciem wśród czytelników*.

Fakt ten świadczy o jakiejś porażce wszystkich Kościołów chrześcijańskich – najwyraźniej nie potrafiły one przekazać swoim wiernym elementarnej wiedzy z zakresu historii chrześcijaństwa i chrześcijańskiej teologii. Łatwowierność, z jaką czytelnicy przyjęli twierdzenie Browna, iż pierwsi chrześcijanie nie uważali Jezusa za Boga, oraz że ostateczny kształt chrześcijaństwa jest rezultatem prymitywnych walk o władzę, powinna obudzić z letargu wszystkich zaangażowanych w pracę apostolską.

Pomyślmy logicznie

Wielu czytelników jest zaniepokojonych obrazem religii chrześcijańskiej, który znaleźli na kartach *Kodu Leonarda da Vinci*. Mam nadzieję, że moja książka upewniła Cię, Drogi Czytelniku, że prawda o Bóstwie Jezusa jest funda-

* Autorka pisze tu o czytelnikach amerykańskich. (przyp. red.)

mentem wiary chrześcijańskiej – i że tak było od początku, odkąd Apostołowie zaczęli głosić Dobrą Nowinę.

Kod Leonarda da Vinci opiera się na następującej przesłance: „zwycięska partia” w chrześcijaństwie usilnie dążyła do ukrycia tych faktów o Jezusie, które były dla niej niewygodne lub nieakceptowalne.

Zastanówmy się przez chwilę nad tym, jak nielogiczne jest to twierdzenie.

Ci, których Brown przedstawia jako „zwycięską partię”, straszliwie cierpieli za swoje, rzekomo kłamliwe, twierdzenia o Jezusie.

Przed wszystkim jednak straszliwie cierpiał sam Jezus.

Pomyślmy – gdyby Jezus był tylko „mądrym nauczycielem” z historyjki Browna, to dlaczego jakiegokolwiek władze miałyby zadawać sobie trud, by Go zgładzić? Dlaczego miałyby Go ukrzyżować? – co było karą zarezerwowaną dla najgorszych kryminalistów...

I jeśli byłby On jedynie tym nauczycielem, zabitym w tak straszny sposób, to dlaczego Jego uczniowie porzucili swoje normalne, bezpieczne życie i zaczęli rozpowszechniać Jego nauki, skazując samych siebie na podobny Mu los?

Kiedy zagłębialiśmy się w historię, staje się dla nas zupełnie jasne, że chrześcijanie byli więzieni i torturowani nie z powodu słuchania nauk jakiegoś filozofa, lecz dlatego, że czcili Boga, wcielonego jako Jezus z Nazaretu, co nie pozwalało im czcić cesarza jako pana lub boga. Ich światopogląd – według którego Bóg, przez Jezusa, króluje jako Pan stworzenia – stanowił po prostu zagrożenie.

Logiczny wywód prowadzi zatem do dwóch stwierdzeń.

Po pierwsze, mimo iż Brown mówi, że chrześcijanie nie czcili Jezusa jako Pana aż do Soboru Nicejskiego, widzimy, że jeśli byłaby to prawda, nie istniałby żaden powód, by uczynić ich celem prześladowań.

Po drugie, jeśli pierwsi chrześcijanie tak naprawdę nie wierzyli, że Jezus jest Panem, jeśli – pod przykrywką liturgii i retoryki mówiących o Jego Bóstwie – byli przekonani, że Jezus był tylko człowiekiem, to dlaczego po prostu nie zmienili swojego sposobu mówienia o Nim? Jeśli nie wierzyli, że Jezus jest Bogiem, a jednocześnie byli rzucający kamienie na pożarcie lub zsyłani do kopalń soli z tego powodu, że uważali Jezusa za Boga, to po co kontynuowali ten „podstęp”?!...

Ta teoria po prostu nie ma sensu.

Założenia *Kodu* sugerują, że chrześcijaństwo, takie, jakim je dzisiaj znamy, zostało sfabrykowane, a prawda została ukryta. Pomyślmy – jaką korzyść mieli Apostołowie i pierwsi chrześcijanie z tego rzekomego ukrywania prawdy? Czy przyniosło im to uznanie i pochwały? Czy dało im korzyści materialne? Czy dało im władzę? Czy to, co głosili, uczyniło ich życie bardziej wygodnym lub bezpiecznym?

Czy byłbyś gotów, *Drogi Czytelniku*, na takie cierpienia, jakie przeszli pierwsi chrześcijanie, wiedząc, że to, za co cierpisz, jest kłamstwem?

A śmierć Chrystusa? Jak ją rozumieć?...

Spotkanie z Jezusem

Napisałam tę książkę, ponieważ chciałam przybliżyć zainteresowanym czytelnikom najbardziej intrygujące kwestie podniesione przez *Kod Leonarda da Vinci*.

W centrum tej problematyki znajduje się jednak nie żadna kwestia, lecz Osoba: Jezus z Nazaretu. Jestem przekonana, że wielu z nas dlatego z taką łatwowiernością przyjęło tezy *Kodu*, ponieważ nigdy na poważnie nie próbowaliśmy poznać Jezusa. Niezależnie od tego, czy chodzimy do kościoła, czy nie, trzymaliśmy się od Niego z daleka,

pozwalając, by inni mówili nam, co mamy o Nim myśleć, i nie zadając sobie trudu, by przeczytać choćby jedną z Ewangelii od początku do końca. W rezultacie przyjęliśmy pogląd, tak bardzo rozpowszechniony w naszej kulturze, że to wszystko jest kwestią osobistych opinii, a w każdym razie – nie istnieje pewna, obiektywna prawda w tej materii.

Jednak, jak to jasno pokazuje świadectwo pierwszych Apostołów, nie chodzi tu o opinie, mity czy metafory. Św. Piotr, św. Paweł czy św. Maria Magdalena nie poświęcili swojego życia jakiejś metaforze. Oni doświadczyli spotkania z żyjącym Jezusem, jako człowiekiem i jako (w tajemniczy, wspaniały sposób) Kimś większym; ofiarowali swoje życie Jezusowi i wypełniło się ono obficie łaską.

Zło *Kodu Leonarda da Vinci* wynika z faktu, że w całej tej gadaninie o „żonie Jezusa”, „sakralności żeńskiej” i „prawdziwej historii” ginie – Prawdziwa Historia.

Jezus, który został ukrzyżowany, który umarł i zmartwychwstał. Ten, którego prawdziwa śmierć i zmartwychwstanie uwalnia nas od mocy grzechu i śmierci. Ten, przez którego Bóg pojednał świat ze sobą.

Ale ta historia tak naprawdę nie jest zagubiona i nie jest sekretem. Nie ma przeszkód, żebyśmy ją poznali.

Ciekawi Cię postać Jezusa?

Prawda jest bliżej, niż myślisz – tak blisko, jak pewna książka na Twojej półce.

Nie, nie chodzi o *Kod Leonarda da Vinci*.

Nie pozwól, by jakiś „zaprogramowany” powieściopisarz mówił Ci, w co masz wierzyć. Wróć do początków, idź do samego źródła: weź do ręki *Pismo Święte*.

Możesz być zaskoczony tym, co tam znajdziesz.